

Życie Wytwórni



rocznica
wybuchu
Powstania
Warszawskiego
i zdobycia
przez
Powstańców
Reduty PWPW





Gdy milkną świadkowie Pamięć Reduty PWPW trwa

Jeszcze dekadę temu podczas rocznicowych uroczystości mogliśmy spotkać uczestników walk o PWPW i wysłuchać ich wspomnień. Dziś nie ma już wśród nas żadnego z obrońców Reduty PWPW. Pozostają ich historie oraz rodziny, które dbają o pamięć o wydarzeniach sprzed 82 lat.

10 LAT TEMU I DZIŚ

2 sierpnia 2016 r. podczas uroczystości powstańczych odbywających się na dziedzińcu przy ul. Sanguszki mogliśmy spotkać kilku uczestników walk powstańczych, zarówno z wytwórniowej grupy PWB/17/S, jak i innych grup biorących udział w zdobyciu i obronie gmachu PWPW. Sięgając po archiwalny numer specjalnego wydania „Życia Wytwórni” sprzed zaledwie dekady, na fotografiach możemy zobaczyć Jerzego Kucharskiego „Gryfa”, Krystynę Wróblewską „Kingę” czy Juliusza Kuleszę „Julka”. A dziś?

Dziś obchody kolejnej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego mają niemal identyczny przebieg. Jak co roku o godz. 11.15 spotkamy się w gronie przedstawicieli organów i urzędów państwowych oraz samorządowych, klientów, kontrahentów, a także członków bliskich nam powstańczych

rodzin. Jak co roku wspólnie odśpiewamy hymn państwowy, a pod tablicą pamiątkową nastąpi uroczyste złożenie wieńców.

Już po raz drugi nasze spotkanie będzie miało jednak zupełnie inny wymiar. Nie ma już bowiem nikogo, kto walczył w powstańczej Reducie. Tym samym nie ma nikogo, kto wzięłby do ręki mikrofon i przemówił głosem tych, którzy tu walczyli oraz tych, którzy 82 lata temu podczas sierpniowych bojów ponieśli śmierć.

CZAS PŁYNIE NIEUBŁAGANIE

Nie ma dziś nikogo z powstańczej załogi PWPW, która liczyła ponad sześćset osób i której zapał, odwaga oraz waleczność pozwoliły zdobyć potężny gmach górujący nad Nowym Miastem, a następnie bronić go przez niemal miesiąc.

Oddając im hołd, warto dodać, że utrzymanie Reduty w powstańczych rękach nie było zadaniem prostym. Świadczy o tym choćby znalezione w niemieckiej prasie porównanie walk przy ulicach Sanguszkki, Zakroczymskiej czy Wójtowskiej do najcięższych bojów o Stalingrad.

Przez ostatnie dziesięć lat na wieczną wartę odeszli związani z powstańczą Redutą m.in.: Jerzy Kucharski „Gryf” (2017), Renisław Kowalski „Czerkies” (2017), Alicja Madziar-Kostarska „Ala” (2018), Barbara Wilczyńska-Sekulska „Penelopa” (2018), Krystyna Nowacka-Wróblewska „Kinga” (2018), Ryszard Nowicki „Sokół” (2021), Kazimierz Gabara „Łuk” (2022), Janusz Pilchowski „Lisek” (2024) i jako ostatni Juliusz Kulesza „Julek”, który swoją powstańczą służbę pełnił już w czasie pokoju zakończył w lutym 2025 roku.

W Wytwórni nie ma dziś nikogo, kto walczył u boku kaprała Romana Marchla, podchorążego Zygmunta Niecieckiego czy żołnierzy z dowodzonej przez podporucznika Edmunda Osiejewskiego „Osę” kompanii „Osa” batalionu Armii Krajowej im. Jana Kilińskiego.

RODZINY REDUTY PWPW

Brak uczestników tamtych sierpniowych dni, choć bardzo bolesny, nie może stać się i, jak zapewniają wszyscy w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, nie stanie się przyczyną zaprzestania upamiętniania tak wyjątkowego wydarzenia w ponad stuletniej historii Wytwórni, jakim było Powstanie Warszawskie.

Coroczne spotkania związane z datą 2 sierpnia będą odbywać się już bez naocznych świadków, których zawsze można było zapytać o niewyjaśnione dotąd kwestie związane z dziejami walk o PWPW. Niezwykle ważne jest

jednak to, że w uroczystościach będą uczestniczyć ci, którzy dziś tworzą grono nazywane w Wytwórni Rodzinami Reduty PWPW, czyli osoby mające rodzinne związki z Powstańcami broniącymi strategicznego dla powstańczej Warszawy budynku Wytwórni.

To właśnie opowieści rodzin Powstańców stały się tematem przewodnim tegorocznych obchodów. Zarówno w materiale filmowym przygotowanym na tegoroczną uroczystość, jak i w powstańczym numerze „Życia Wytwórni” można zapoznać się ze wspomnieniami o uczestnikach Powstania widzianych nie przez pryzmat walki z nieprzyjacielem, lecz jako dziadków, ojców czy babć.

Od Macieja Grodeckiego dowiemy się, jakim ojcem był Leszek Grodecki „Lis” i jak szczególną więź stworzył z synem.

Dorota Qaid (z d. Kulesza) wraz z synami Omarem i Jackiem podzieliła się wspomnieniami dotyczącymi Juliusza Kuleszy, nie członka Drużyny Roma, lecz taty i dziadzi. Tak właśnie do „Julka” zwracali się jego wnukowie.

Maria Lech-Czerny, córka porucznika Czesława Lecha „Białego”, który zginął 28 sierpnia 1944 r., gdy była jeszcze małym dzieckiem, opowie o świadomości głębokiej miłości ojca, obecnej w jej życiu do dziś.

Obraz bohaterskiej dr Hanny Petrynowskiej „Rany”, nakreślony wspomnieniami swojej mamy Ireny, przybliży Paweł Karłowski, wnuk dr Hanny.

Mamy nadzieję, że te pełne emocji relacje pozwolą Państwu poznać Powstańców Warszawskich w nieco innym kontekście niż ten, w którym najczęściej się o nich mówi, a także uświadomią, jak wiele emocji wciąż budzą powstańcze wydarzenia wśród członków Rodzin Reduty PWPW.

Michał Przyborowski

Tata był moim najlepszym przyjacielem



Maciej Grodecki o Leszku Grodeckim „Lisie”,
Powstaniu Warszawskim i o obowiązku pamięci

Dla żołnierzy drużyny „Roma” był jednym z najodważniejszych obrońców Reduty PWPW. Dla Macieja Grodeckiego pozostał przede wszystkim ojcem, przyjacielem i życiowym autorytetem. W rozmowie pełnej anegdot, humoru i wzruszeń syn Leszka Grodeckiego wspomina człowieka, który po wojnie uczył go sportu, miłości do natury i przekazał najistotniejsze wartości.



Leszek Grodecki „Lis”

(21.09.1926–21.06.2015)



W czasie okupacji był uczniem tajnych kompletów licealnych. W konspiracji żołnierz 7. Pułku Piechoty Armii Krajowej „Madagaskar”/„Garłuch”, uczestnik akcji sabotażowych i rozbrojeniowych. Podczas Powstania początkowo w batalionie „Parasol” (ranny 8 sierpnia), następnie w batalionie „Miotła”, a od 17 sierpnia w grupie PWB/17/S (drużyna „Roma”), wraz z którą do samego końca walczył w obronie gmachu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych przy ul. Sanguszkii. Po wycofaniu się kanałami ze Starówki dołączył do zgrupowania „Konrad” na Powiślu.

Za udział w walkach powstańczych był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Po Powstaniu trafił do niewoli. Był więziony w stalagu Xi-B Fallingbostel, skąd zimą 1944/1945 uciekł do kraju.

Po wojnie ukończył studia chemiczne na Politechnice Warszawskiej, pracował jako projektant w zakładach przemysłu cukierniczego. Był uczestnikiem międzynarodowych turniejów siatkarskich i wielokrotnym reprezentantem Polski w tej dyscyplinie.

Zmarł 21 czerwca 2015 r. w wieku 89 lat.

Panie Macieju, jakim człowiekiem był Pana tata? Pytam nie jako o uczestnika Powstania, ale na co dzień – jako ojciec, jako mąż. W 2015 roku, po jego śmierci, napisał Pan o nim piękne wspomnienie, wyjawiając, że był człowiekiem wielu talentów, ale niespecjalnie się z tym afiszował.

Maciej Grodecki: Tak, on był raczej skromnym człowiekiem, z dużym poczuciem humoru oraz z niezwykłą wolą walki. Ojciec zawsze mi powtarzał: „Pamiętaj, masz każdy mecz traktować bardzo poważnie i na boisku nie musisz nikogo żałować. Wygrywaj i koniec”.

A jak to było dorastać w domu Powstańca? Kiedyś wspominał Pan, że o Powstaniu dowiadywał się szczątkowo, że to nie była jedna stała opowieść, tylko wracała przy różnych okazjach. Jak Pan sądzi, dlaczego ojciec nie dzielił się chętnie tymi wspomnieniami?

To były dla niego tragiczne chwile. Dwunastego dnia walk został przez snajpera zastrzelony jego brat, Andrzej Żmudzin.

Czego ja się dowiadywałem? Drużyna „Roma” organizowała coroczne spotkania. One się odbywały raz u Julka Kuleszy, raz u mojego ojca, raz u „Roma” przed jego śmiercią albo u Bogiela – słynnego kolegi taty z Powstania. Oni wtedy opowiadali różnego rodzaju historie związane z walką tutaj, w PWPW. Z czasem zresztą sami mówili: „Słuchajcie, już nie mogę tego słuchać. W koło Macieju cały czas opowiadamy na każdym spotkaniu to samo, żeby po prostu nie zapomnieć”.

Ale tak bezpośrednio, w cztery oczy, ojciec Panu o Powstaniu nie opowiadał?



Nie za bardzo. Zapytałem go raz, jako mały chłopiec – miałem wtedy może 8 czy 9 lat: „Tata, a ilu zabiłeś Niemców?”. Ojciec odpowiedział krótko: „Siedmiu”. I od tamtej pory już się w ogóle nie wgłębiałem w jego przeżycia. Bardzo dużo za to słyszałem tych opowieści podczas ich wspólnych spotkań. Dla nich to była taka odskocznia, a ja przy okazji sporo się dowiadywałem. Po prostu przy tym byłem.

A kiedy po raz pierwszy poczuł Pan, że pański tata zrobił coś naprawdę niezwykłego? Mam na myśli oczywiście Powstanie, nie jego karierę sportową. Czy jako dziecko rozumiał Pan wagę wydarzenia, jakim było Powstanie Warszawskie?

Ojciec był chyba jednym z rekordzistów, jeśli chodzi o to, w jak wielu szeregach różnych oddziałów walczył. Był w „Garłuchu”, „Miotle”, „Zośce”, w PWB... i wszędzie jakoś udało mu się przeżyć. Był dwukrotnie ranny, dostał dwukrotnie Krzyż Walecznych.

Dotarło to do mnie dzięki pierwszej książce Julka Z „*Tasimką*” na czołgi, którą dostałem z jego piękną dedykacją. Pamiętam, co mi wtedy napisał: „Abyś, Maćku, nie przeżywał tego, co przeżywał Twój ojciec razem ze mną i z całą drużyną «Roma»”. Książkę przeczytałem natychmiast.

I to był ten moment?

Tak, zdecydowanie. Proszę zrozumieć – z jednej strony ojciec się nie chwalił, a z drugiej pochodził z rodziny wojskowych, w której funkcjonuje wiele wojennych opowieści. Mój dziadek ze strony mamy, Mariusz Skierczyński, to przedwojenny major. Mój drugi

[...] byliśmy ze sobą niesamowicie blisko. Mój ojciec był nie tylko tatą – był moim kumplem i najlepszym przyjacielem. Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Razem jeździliśmy na wakacje, graliśmy w siatkówkę, chodziliśmy na ryby i grzyby, zbieraliśmy żurawiny... Było kapitalnie.

dziadek, od strony ojca, Piotr Grodecki – kapitan Wojska Polskiego.

Ten pierwszy, Mariusz Skierczyński, został odznaczony dwoma Krzyżami Virtuti Militari i uznany za najlepszego sapera całej kampanii wrześniowej. Pod Baranowem w zaledwie osiem godzin skonstruował przez Wisłę most dla ratowania Armii „Kraków”. Dzięki niemu cała armia się ewakuowała, a potem ten most wysadzili w powietrze.

Najsławniejszą osobą w mojej rodzinie, o której napisano chyba 40 książek, był Jerzy Różycki – ojciec chrzestny mojej mamy. Znałem i pamiętam jego mamę, Wandę Różycką, choć byłem wtedy dzieckiem. To była przemiła, ogromnie inteligentna kobieta. Nigdy nie dowiedziała się, że jej syn rozpracował Enigmę, bo zmarła w latach 60., a świat dowiedział

się o tym oficjalnie w 1972 roku. Nasza rodzina przeżyła wtedy niesamowitą historię. Najpierw mój dziadek dowiedział się, że dostał awans na podpułkownika od rządu w Londynie, a po paru miesiącach przyszły papiery udowadniające, że to właśnie Różycki z Zygalskim i Rejewskim rozpracowali Enigmę w grudniu 1932 roku. A przecież Francuzi, Amerykanie i Anglicy twierdzili wtedy, że to jest absolutnie nie do zrobienia!

A wracając do Powstania i drużyny „Roma” – kogo najczęściej wspominał pański ojciec?

„Bogiela”, czyli Bogusia Kaufmana i oczywiście Julka. Z Julkiem spotykali się na wszelkich możliwych uroczystościach: urodzinach, imieninach, a rocznica Powstania była u nas w domu zawsze celebrowana.

Wspomniał Pan o tym pytaniu do taty z dzieciństwa – o to, ilu Niemców zabił, i o tym, jak mocno ono na Pana wpłynęło. A czy było jakieś inne pytanie, którego nigdy Pan ojcu nie zadał, bo zwyczajnie się Pan obawiał?

Nie, byliśmy ze sobą niesamowicie blisko. Mój ojciec był nie tylko tatą – był moim kumplem i najlepszym przyjacielem. Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Razem jeździliśmy na wakacje, graliśmy w siatkówkę, chodziliśmy na ryby i grzyby, zbieraliśmy żurawiny... Było kapitalnie. Jako młody chłopak wolałem jechać z rodzicami na wakacje niż z kolegami do Dębek, żeby się upijać każdego dnia. Mówiłem: „Nie, koniec, jadę z nimi”.

A tata na dodatek miał niesamowite oko do grzybów i nieprawdopodobną orientację w terenie. Nauczył mnie wielu rzeczy. Kiedy



wchodziliśmy do lasu, ja się o nic nie martwiłem – przy nim nigdy nie nauczyłem się orientacji, bo zawsze wiedziałem, że z nim bezpiecznie dojdę do celu. Chodziliśmy na przykład dwie godziny po gęstym lesie. Pytam w końcu: „Tata, a gdzie jest samochód?”. A on na to: „O, tutaj przejdziemy w lewo z 200 metrów i tam stoi”. I rzeczywiście wychodziliśmy z gąszczy, a samochód tam na nas czekał. Niezwykły był z niego człowiek.

A co wojna i Powstanie zabrały pańskiemu ojcu?

Przede wszystkim brata. I młodość. U mnie w domu babcia Zosia, jego mama, spała na takim łóżku, pod którym – jak ojciec wspominał – były schowane granaty. W naszym mieszkaniu przed zrywem odbywały się tajne szkolenia AK-owców. Rozbiegali pistolety po ciemku i ćwiczyli najróżniejsze rzeczy, żeby zdobyć jakiegokolwiek rzemiosło do walki z Niemcami. Przecież tamci byli

uzbrojeni po zęby, a nasi... szkoda gadać, strasznie słabo.

Jak zmieniło się Pana postrzeganie Powstania na przestrzeni lat – od czasu, gdy był Pan nastolatkiem, do dzisiaj?

Jak byłem nastolatkiem, miałem w głowie głównie grę w piłkę i inne chłopięce sprawy. Prawdziwa świadomość przyszła w momencie, kiedy zacząłem czytać książki Julka o Powstaniu i kiedy po prostu dorosłem. Jak miałem te 17–18 lat, zacząłem się tym mocniej interesować. I tak to we mnie zostało.

Przez lata to właśnie Powstańcy z drużyny „Roma” stali na straży pamięci o walkach w Reducie PWPW. Dzisiaj nie żyje już żaden z nich. Pański tata odszedł w 2015 roku, Juliusz Kulesza w zeszłym. Czy teraz rocznice Powstania przeżywa Pan tak samo?

Myślę, że dziś wywołują we mnie znacznie więcej emocji. Dopiero teraz człowiek w pełni sobie

uświadamia, że ich już nie ma. Kiedyś mogłeś po prostu przyjść, zapytać, porozmawiać... A teraz została po nich pustka.

Pan tę pustkę stara się jednak na swój sposób wypełniać, opowiadając ich historie. Pamiętam, jak byliśmy w Muzeum Powstania Warszawskiego, kiedy przekazywał Pan niezwykle ważne, osobiste pamiątki rodzinne. Przyprowadził Pan wtedy sporą grupę młodzieży. Czy czuje Pan też potrzebę dzielenia się tą wiedzą z młodszymi pokoleniami?

To była wyjątkowa okazja, ponieważ zdecydowałem się przekazać do placówki historyczne medale i odznaczenia zbierane przez całą naszą rodzinę. Wśród nich znalazła się ta najważniejsza rzecz – oryginalna powstańcza opaska mojego ojca z walk w PWPW. Przekazałem też dwa ordery Virtuti Militari mojego dziadka Mariusza oraz Virtuti Militari Andrzeja Żmudзина, który zginął w Powstaniu. Do tego do-



szły wszystkie medale obu dziadków, łącznie z odznaczeniami za wojnę z Sowietami w 1920 roku. Łącznie było ich chyba ze 140 – z różnych epok, z czasów I wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej i II wojny światowej.

Przyprowadziłem wtedy całą grupę dzieci moich sąsiadów z Saskiej Kępy. Pomyślałem sobie, że to świetna okazja, i zapytałem, czy chciałyby pójść ze mną. One natychmiast się zapaliły do tego pomysłu, skrzyknęły rówieśników i tak uzbierała się z tego całkiem spora gromadka. Bardzo mnie to ucieszyło, a dzieciakom ogromnie się spodobało. Rozmawiałem z nimi później, gdy już jadły ciastka – większość z nich zadeklarowała, że chce tam koniecznie wrócić, bo zobaczyli dopiero jedną salę i chcą wiedzieć więcej. Mam poczucie, że przyprowadzając tę całą „bandę” dzieciaków do Muzeum Powstania Warszawskiego, zapaliłem w nich małą iskierkę zainteresowania historią, co bardzo mnie cieszy.

I właśnie dlatego dziwię się, że tutaj, w PWPW, potomkowie Powstańców właściwie nie przyprowadzają swoich dzieci ani wnuków na uroczystości rocznicowe. Obserwuję, że jestem tam jednym z najmłodszych, że kręcą się tam głównie dorośli. A przecież to jest ogromnie ważny temat, trzeba go przekazywać dalej. Ja w tym roku na pewno znowu przyprowadzę kilkoro z dzieciaków, jeśli tylko będą w Warszawie. Traktuję to jako swój absolutny obowiązek.

Chcę, żeby zobaczyli, jak piękną oprawę mają te rocznice, jak wspaniale się je tutaj celebrowa i jak wy – jako Wytwórnia – odwalacie kawał naprawdę świetnej, potrzebnej roboty.

Cieszę się i jestem ogromnie wdzięczny, że wy tutaj, w Wytwórni, tak niesamowicie o to dbacie. Nie wszędzie pamięć o Powstaniu jest celebrowana w taki sposób [...]. Dlatego jestem z was bardzo dumny. Julek zawsze mi powtarzał, że PWPW to dla niego rodzina.

Dziękuję. Czy można w tym kontekście powiedzieć, że czuje się Pan członkiem rodziny Reduty PWPW?

Rzeczywiście, czuję się częścią rodziny AK-owców. Nie tylko samej PWPW – choć wiadomo, że drużyna „Roma” jest najbliższa mojemu sercu – ale ogólnie czuję się po prostu członkiem rodziny Armii Krajowej.

Jakie emocje i myśli towarzyszyły Panu, kiedy przechodził Pan obok budynku mieszkalnego przy Rybakach bądź samego gmachu PWPW – czyli miejsc, w których walczył pański ojciec?

Byłem tutaj kiedyś z ojcem i z Julkiem. Opowiadali mi, jak siedzieli w budynku mieszkalnym na punkcie obserwacyjnym. Spędzili tam ciurkiem chyba z 15 czy 16 godzin i w końcu zeszli na dół. Załedwie chwilę po tym, jak opuścili to miejsce, zostało ono całkowi-

cie zarzucone granatami. Gdyby zeszli moment później, zginęliby na miejscu.

Kiedy ogląda Pan uroczystości rocznicowe w Warszawie i kiedy gości Pan w PWPW, to czuje Pan dumę, że miasto pamięta o swoich bohaterach po tylu dekadach czy jednak przeważa tęsknota za tymi ludźmi?

Cieszę się i jestem ogromnie wdzięczny, że wy tutaj, w Wytwórni, tak niesamowicie o to dbacie. Nie wszędzie pamięć o Powstaniu jest celebrowana w taki sposób – również ze strony władz miasta. Dlatego jestem z was bardzo dumny. Julek zawsze mi powtarzał, że PWPW to dla niego rodzina. Opowiadał mi nawet taką historię, kiedy chyba swoją koleżną – jak się okazało ostatnią – książkę chciał oddać do innego wydawnictwa. W PWPW mu na to nie pozwolili. Powiedzieli: „Nie, Julek, wydajesz u nas. Mamy na to środki, siadaj do pracy i wydajemy”.

A jak wspomina Pan samego Juliusza Kuleszę? Wiemy, jak ogromny miał dorobek w dokumentowaniu historii Powstania, ale Pan przecież przyjaźnił się z nim osobiście.

Julek Kulesza zajmuje w moim życiu wyjątkowe miejsce – tuż obok mojego dziadka Marusia. To w moim życiu jeden z dwóch ludzi, którzy nigdy, ale to nigdy nie użyli w mojej obecności wulgaryzmu. Często się spotykaliśmy, a on nigdy nie zaklął, zero! Dokładnie tak samo jak dziadek Maruś – u niego szczytem wszystkiego było siarczyste „kurde balans” albo „parszywaja sabaczka” i nic więcej.

Przypomina się w tym kontekście jedna z anegdot opowiadanych przez Juliusza Kuleszę – ta o pańskim tacie, który w trakcie walk miał przez pewien czas poważny problem ze słuchem. Mógłby Pan ją przypomnieć?

Ach, tak! W pobliżu ojca wybuchła wtedy tzw. „krowa” lub jakiś inny potężny pocisk artyleryjski. Na szczęście dostał wtedy tylko lekko odłamkiem w plecy, ale od fali uderzeniowej kompletnie stracił słuch – popękały mu bębenki w uszach. Nic a nic nie słyszał. Kiedy ktoś do niego mówił, on widział tylko poruszające się usta i z powagą potakiwał: „Tak, tak. Tak, tak”. Koledzy z drużyny szybko to podłapali i zaczęli stroić sobie z niego żarty, mówiąc mu w twarz najbardziej niestworzone rzeczy i największe świństwa, a on z uśmiechem odpowiadał: „Tak, tak. Oczywiście”. Widzi Pan, mimo że walczyli w strasznych warunkach i było potwornie ciężko, to poczucie humoru ich nie opuszczało.

Julek opowiadał mi też inną historię z czasu walk o kompleks PWPW. Podczas jednego ze szturmów nasi dostrzegli, że w odległości jakichś 30–40 metrów, chyba w wyrwie zniszczonego domu, kryje się grupa wrogów. To dosyć daleko, ale ponieważ tata świetnie rzucał, powiedzieli: „Leszek, masz tu granat, wrzuc im tam”. Ojciec go wziął, rzucił i – jak wspominał Julek – trafił idealnie. Wpadło prosto w tę wyrwę i wybuchło.

Najlepsza jest jednak inna anegdota. Ojciec część swojego dzieciństwa spędził na kresach wschodnich, gdzie mój dziadek

Ty urodziłeś się w 1926 roku, a ja w 1956. Ale gdybym ja urodził się w twoich czasach, to bądź pewien, że stałbym tutaj ramieniem w ramię z tobą.



Leszek Grodecki w roku 2014 / fot. Artur Tkaczyk/

był starostą. Tam tata nauczył się trochę języka, a zwłaszcza tych najbardziej soczystych, ukraińskich wulgaryzmów. Więc gdy walczyli w budynku przy Rybakach i grupa kolaborancka znalazła się gdzieś za rogiem, w zasięgu głosu, a jej członkowie zaczęli coś prześmiewczo wykrzykiwać, mój ojciec nagle wychylił się i potężnie nabluzgał im w ich własnym języku. Julek opowiadał, że po tej tyradzie taty po tamtej stronie zapadła absolutna, grobowa cisza. Kompletnie ich zatkło, tylko potem było słychać, jak zszokowani szepczą coś między sobą.

Gdyby mógł Pan cofnąć się w czasie do 1944 roku i stanąć twarzą w twarz z Powstańcami walczącymi w tym gmachu: co by Pan powiedział lub zrobił?

Rozmawiałem kiedyś o tym z ojcem. Powiedziałem mu wprost: „Ty urodziłeś się w 1926 roku, a ja w 1956. Ale gdybym ja urodził się w twoich czasach, to bądź pewien, że stałbym tutaj ramieniem w ramię z tobą”. My po prostu mamy to we krwi – jesteśmy z rodziny patriotów, nie dajemy sobie w kaszę dmuchać i na pewno walczylibym tak samo jak on.

Każdy syn patrzy na swojego ojca jak w obraz. Jaki obraz ojca Panu towarzyszył?

Jak to wyglądało? Ojciec był nie tylko moim osobistym bohaterem. Gdziekolwiek w Warszawie ktoś związany ze sportem usłyszał nazwisko Grodecki, od razu pytał: „O, a twój tata to ten, co chodził na Legię, do tego ośrodka sportowego na Wale Miedzeszyńskim?”. Potwierdzałem, bo tata już



po zakończeniu kariery grał tam namiętnie w siatkówkę.

Na kortach tenisowych było podobnie. Kiedyś ktoś krzyknął do mnie po nazwisku – od razu podeszło dwóch starszych facetów i zaczęli wspominać ojca.

Pamiętam też sytuację z 1974 roku, podczas piłkarskich Mistrzostw Świata. W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki (MPIK) miał spotkanie autorskie Bogdan Tomaszewski, nasz słynny komentator sportowy. Podeszedłem i poprosiłem go o autograf: „Niech Pan wpisze: dla Maćka Grodeckiego”. Tomaszewski spojrzał na mnie i pyta: „Grodecki? A twój tata to Leszek?”. Odpowiedziałem, że tak. I znowu się zaczęło: „Znakomity siatkarz, a to taki mecz zagrali, a to tamto...”.

Słynny karykaturzysta Edward Ałaszewski namalował przecież kiedyś ojca dla „Przeglądu Sportowego”. Tata był po prostu bardzo znaną i lubianą postacią w Warszawie.

Na Saskiej Kępie też krążyły o nim legendy. „Bogiel” opowiadał mi kiedyś historię z czasów powojennych, kiedy chłopaki z Saskiej Kępy skrzyknęli się na tradycyjną „ustawkę” bokserską z chłopakami z Grochowa. Mieli na całe towarzystwo tylko dwie pary rękawic, więc po każdej walce przekazywali je kolejnym zawodnikom. Mój tata miał walczyć w wadze ciężkiej. Wyszedł na ten prowizorycznie sklecony ring, stanął naprzeciwko wielkiego chłopca z Grochowa i – jak opowiadał „Bogiel” – nie minęło nawet 10 sekund, jak tata go palnął i było po walce. Pod względem ruchowym i sportowym był nieprawdopodobnie, genialnie utalentowany.



Czy jest jeszcze jakieś wspomnienie, którym chciałby się Pan na koniec podzielić?

Wie Pan... jestem z ojca niesamowicie dumny, tu w ogóle nie ma o czym mówić. Jest dla mnie absolutnym wzorem i życiowym idolem. Strasznie mi go brakuje. To był po prostu kapitalny facet.

Był wspaniałym przyjacielem i kumplem. Nauczył mnie, jak żyć w pełnej zgodzie z naturą: pokazał mi, które grzyby są jadalne, a które trujące, nauczył mnie łowić ryby i przekazał właściwe wartości. Myślę, że tyle wystarczy.

Bardzo dziękuję za tę niezwykle poruszającą rozmowę.

Ja również bardzo dziękuję. Było mi niezmiernie miło.

Maciej Grodecki

(ur. 1956 r.) – syn Leszka Grodeckiego, ps. „Lis”. Obieżyświat. Wyjechał z Polski na rok przed stanem wojennym. Mieszkał dwa lata w Niemczech, a następnie otrzymał zaproszenie od rządu Kanady, gdzie zapewnił mu szkołę i opiekę w ramach programu azylowego. W Kanadzie założył rodzinę. Ma dwoje dzieci i dwoje wnucząt. Kolejne ponad 17 lat spędził w Nowym Jorku. W 2006 roku wrócił do Polski. Mieszka na Mazurach, cieszy się życiem i kocha Polskę.



Okolice Wytwórni przed Powstaniem. Niemieckie zdjęcie lotnicze wykonane niedługo przed wybuchem Powstania Warszawskiego, w lipcu 1944 r., podczas lotu zwiadowczego samolotu typu Focke-Wulf Fw 189 Eule. Źródło: Bildarchiv Foto Marburg

Pamięć to także odpowiedzialność



Paweł Karłowski, wnuk dr Hanny Petrynowskiej „Rany”, o dziedzictwie Powstania Warszawskiego

Dla jego babci, dr Hanny Petrynowskiej „Rany”, obowiązek wobec rannych okazał się silniejszy niż instynkt ocalenia. Dziś jej wnuk próbuje odpowiedzieć na inne pytanie: jak mądrze nieść dalej pamięć o ludziach, którzy zapłacili najwyższą cenę. To refleksyjna rozmowa o rodzinnym dziedzictwie, historycznej odpowiedzialności i sensie pamiętania ponad podziałami.



Hanna Petrynowska „Rana”

(23.02.1901–28.08.1944)



Z domu Żabińska, siostra dyrektora warszawskiego ZOO, dr Jana Żabińskiego. W roku 1918 ukończyła liceum P. Hewelke w Warszawie, a w 1924 r. uzyskała dyplom lekarza pediatry na UW. Początkowo była lekarką szkolną, od roku 1935 – rejonową lekarką Miejskiej Pomocy Lekarskiej. Przed wojną uczyła na kursach sanitarnych dla maturzystek.

Od 1940 r. była lekarzem zakładowym PWPW — po aresztowaniu męża Mariana, jej poprzednika na tym stanowisku. Jako członek Armii Krajowej w konspiracji była szefem sekcji sanitarnej w grupie PWB/17/S, a gdy wybiła Godzina „W” i wybuchło Powstanie Warszawskie, już od paru dni znajdowała się na stanowisku bojowym w gmachu PWPW.

Wyruszała tam, pozostawiając w mieszkaniu przy ul. Kapucyńskiej dwoje pozbawionych ojca dzieci – szesnastoletniego Jerzego i o rok młodszą Irenkę. Trzeźwo myśląca kobieta zdawała sobie sprawę z podjętego ryzyka, zwróciła się więc do niepełnoletniego syna, jak do dorosłego mężczyzny: – Jeżeli nie wrócę, ty masz być opiekunem Irenki.

W Powstaniu zorganizowała w PWPW punkt opatrunkowy, przekształcony później w szpital polowy. Podczas wycofywania się Powstańców z Wytwórni dobrowolnie pozostała z ciężko rannymi w podziemiach i zginęła od granatów podczas wykonywania obowiązków. Jej ciała nie odnaleziono. Pośmiertnie odznaczona Krzyżem Orderu VM V klasy.

Jak postrzegał Pan wojnę i Powstanie kiedyś, a jak dzisiaj? Jak oceniał Pan to wtedy, a jak dziś – to bohaterstwo babci i dziadka? Czy nie ma w Panu trochę żalu, że oni tym swoim bohaterstwem zabrali Panu... siebie samych?

Paweł Karłowski: To jest bardzo złożone. Odpowiedź na to pytanie jest skomplikowana, bo jak mówi stare rzymskie przysłowie *tempora mutantur et nos mutamur in illis* – czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz z nimi. Mój stosunek do Powstania ewoluował. Kiedy jest się dzieckiem i słyszy się o wojnie, ma się dosyć czarno-biały, zero-jedynkowy, taki romantycznie uproszczony stosunek do tych wydarzeń. Z wiekiem – a zwłaszcza w moim przypadku, ze względu na zaszczerpioną przez mamę pasję do historii jako dziedziny nauki – te poglądy się zmieniały.

Powiem tak: był taki czas w moim życiu, kiedy dojrzewając, zacząłem coraz bardziej uważać decyzję o wybuchu Powstania za błędną, a nawet marnotrawną z punktu widzenia historii narodu i straty kwiatu polskiej młodzieży. Później jednak ta ewolucja szła dalej. Doszedłem do wniosku, że ci ludzie i tak mogliby zginąć w ubeckich piwnicach albo na Syberii. A ginąc z bronią w rękę – przepraszam, to dla mnie bardzo wzruszający temat – dali nam jako narodowi pewien mit założycielski naszej niepokorności, przywiązania do wolności i niepodległości.

Wtedy mój pogląd znowu się zmienił. Dziś, z perspektywy tych wyważonych refleksji, powiedziałbym tak: to była taktycznie bezsensowna decyzja o zba-
wiennych konsekwencjach histo-



rycznych. Taki jest mój wyważony pogląd jako potomka ludzi, którzy oddali życie. Dotyczy to zwłaszcza babci w sensie powstańczym, bo historia śmierci dziadka była z natury rzeczy tragiczna, ale zupełnie inna i z Powstaniem Warszawskim niepowiązana.

To nie Powstanie, ale po prostu Niemcy zabrali Panu ważne w życiu osoby. Skoro wojna i Powstanie są tak istotnym elementem w losach pańskiej rodziny, czy czuje się Pan w jakiś sposób odpowiedzialny za to, by przekazywać te historie dalej? Kiedy zadzwoniłem z prośbą o rozmowę, umówiliśmy się natychmiast. Czy bierze Pan na siebie funkcję strażnika pamięci – kogoś, kto przy każdej okazji opowie o Powstaniu i o swojej rodzinie?

Tak. I znowu kłania się łacińska zasada *non omnis moriar* – nie wszystkich umrę. Sprowadza się ona do pozostawienia po sobie żywych i trwałych wspomnień. Jeżeli chcemy w pewien sposób dać naszym przodkom jakiś aspekt nieśmiertelności, dzieje się to właśnie przez kultywowanie pamięci o nich.

To jest jednak trudna równowaga, zwłaszcza w relacjach z własnymi dziećmi. Trzeba w nich wywołać zainteresowanie, ale jednocześnie nie zmęczyć tematem. U młodego człowieka bardzo łatwo można wywołać odruch obronny przez nadmierną natarczywość. Wydaje mi się – jak każdemu rodzicowi z wieloletnią refleksją – że gdybym miał drugą szansę bycia rodzicem tych samych dzieci, wiele rzeczy zrobiłbym nieco inaczej. Myślę jednak, że zarówno u Julii, jak i u Aleksandra udało mi się wywołać świadomość własnych korzeni i zainteresowanie ugrun-

Bycie tu wewnątrz, w miejscu, gdzie zginęła moja babcia, wiąże się ze szczególnymi emocjami. Są to jednak emocje bardzo pozytywne, ponieważ PWPW jest instytucją, która w sposób trwały, konsekwentny i ponad podziałami politycznymi [...] kultywuje pamięć walczących i poległych tutaj Powstańców.

towywaniem wiedzy na temat skomplikowanej historii rodzin zarówno mojego ojca, jak i mojej mamy.

Wspominał Pan, że kiedyś był Pan z dziećmi w gmachu PWPW.

Tak, oczywiście. Pokazywałem im go.

Jak Pan patrzy na to miejsce? Co Pan czuje teraz, w schronie, w którym mieścił się szpital powstańczy?

Bycie tu wewnątrz, w miejscu, gdzie zginęła moja babcia, wiąże się ze szczególnymi emocjami [wywiad przeprowadzono w schronie prezydenckim na terenie PWPW w gmachu przy San-guszki – przyp. red.]. Są to jednak emocje bardzo pozytywne,

ponieważ PWPW jest instytucją, która w sposób trwały, konsekwentny i ponad podziałami politycznymi – jako spółka Skarbu Państwa – kultywuje pamięć walczących i poległych tutaj Powstańców. W związku z tym mam do tego miejsca stosunek niezwykle pozytywny. Co roku, wracając z naszych grobów rodzinnych na Powązkach w Dniu Wszystkich Świętych, jako ostatni etap objazdu miejsc dla nas ważnych zatrzymuję się właśnie na ulicy San-guszki, po to, żeby zapalić znicz pod tablicą upamiętniającą moją babcię.

Mam nadzieję, że teraz będzie Pan nas odwiedzał nie tylko przy okazji rocznic.

Na pewno tak się stanie. Nawet to, że jesteśmy z żoną przez pierwsze pięć dni sierpnia na festiwalu filmowym „Dwa Brzegi” w Kazimierzu, nie zmieni faktu, że przyjadę z Kazimierza do Warszawy specjalnie na spotkanie u Państwa.

A jak patrzy Pan na uroczystości rocznicowe w Warszawie? Co Pan czuje, gdy widzi, że miasto pamięta? Dumę z członków rodziny, którzy aktywnie uczestniczyli w walkach, czy bardziej ból i tęsknotę, mimo że akurat babci nie mógł Pan osobiście poznać?

Z perspektywy osoby, która jest dziś o kilkanaście lat starsza od swojej babci w chwili jej śmierci, to już jest zupełnie inna relacja. Oczywiście mam poczucie niedosytu, że z przyczyn historycznych, których kluczową częścią była II wojna światowa, z czworga swoich dziadków za życia poznałem tylko matkę mojego ojca. Ale taka była historia i takie jest



dziedzictwo mojego pokolenia. To działo się niezależnie od tego, czy ludzie ginęli w kampanii wrześniowej, na froncie zachodnim, czy w Powstaniu Warszawskim.

Rozmawia Pan z kimś, kto jako dziecko widział na ulicach dzieciętski inwalidów wojennych na wózkach czy chodzących o kulach. Świat mojego dzieciństwa był pełen ludzi noszących do końca swoich dni ślady tamtych wydarzeń. W związku z tym to postrzeganie jest dla mnie bardziej osobiste i naturalne. Jestem z nich dumny.

Kiedy wspominałem, że w moim przekonaniu Powstanie Warszawskie było jednocześnie taktycznie bezsensowne, ale historycznie i narodowo zbawienne, miałem na myśli również to, że w naszym pękniętym światopoglądowo społeczeństwie troska o pamięć o nim jest jednym z nielicznych tematów łączących nas ponad podziałami. Nie znajduje się w sferze bieżącego sporu polityczno-historyczne-

go. Każdy naród, jeżeli ma przetrwać, musi kultywować to, co go łączy. Powstanie było taktycznie i racjonalnie bezsensowne, skazane na porażkę, ale w swoim heroicznym wymiarze – z historycznego i narodowego punktu widzenia – okazało się zbawienne, bo dało nam fundament pod odbudowę dumy narodowej.

Idąc tutaj do schronu, wspominał Pan, że kilkanaście lat temu spotkał Pan Juliusza Kuleszę. Jak go Pan wspomina? Jako byłego Powstańca, dokumentalistę, znajomego?

Powiedziałbym w ten sposób: jeśli chodzi o pana Juliusza, to mimo że sam mam już swoje lata, zawsze odnosiłem się do niego z należnym weteranowi szacunkiem i nigdy nie przeszliśmy na „ty”. Poza jego statusem historycznym ogromnie ceniłem go za jego dorobek literacki oraz pasję w porządkowaniu i konsolidacji danych źródłowych. Jego książki,

o ile dobrze pamiętam – *Reduta PWPW* i *Z „Tasiemką” na czołgi* – bardzo mi pomagały w poszerzaniu perspektywy. Moja mama miała bardzo intensywny kontakt z panem Kuleszą. Ich relacja miała o wiele bardziej partnerski stosunek, niż ja sam śmiałybym sobie na to pozwolić.

Czy książki Juliusza Kuleszy sprawiły, że zaczął Pan postrzegać swoją babcię, dr „Ranę”, jako osobę jeszcze bardziej niezwykłą? Juliusz zawsze wypowiadał się o niej z niesamowitym szacunkiem. Do końca życia nosił w sobie jej słowa, gdy jako młody, roztrzęsiony chłopak usłyszał od niej: „To nie wy sprawiliście, że Bacik nie żyje, on i tak umierał”. Czy te publikacje sprawiły, że zobaczył Pan życie swojej babci jako bardziej wyjątkowe i heroiczne?

Tak. One w sposób wspierały uzupełniały, zbierały i systematyzowały wspomnienia o babci – te, które nie były bezpośrednim udziałem mojej mamy. Z tym



materiałem zetknąłem się już jako człowiek dorosły, więc było to dla mnie jakby drugie, bardzo ważne odkrycie babci. To, że trafiłem na te książki w okresie już w pełni świadomego odbioru informacji historycznych, było chyba dobre. Widocznie tak miało być, bym poznawał swoją babcię etapami.

Na koniec chcę bardzo podziękować. Ta rozmowa jest dużym przeżyciem emocjonalnym. Jest też świetną okazją i pretekstem do usystematyzowania własnych wspomnień oraz przemyśleń. Podobnie działa na mnie lektura książki, którą na temat naszej rodziny zebrała i opracowała Teresa Umer, z domu Czerniewicz – wnuczka Marii Czerniewicz, która wyprowadziła moją mamę i jej brata z powstańczej Warszawy. To są bardzo cenne chwile. W gonitwie codzienności nie zawsze mamy czas, żeby się zatrzymać i pomyśleć, kim jesteśmy i skąd приходzimy.

Bardzo państwu dziękuję za tę okazję do autorefleksji na temat kobiety, która była duchem silnie obecna w moim dzieciństwie i która przez cały czas stanowiła punkt odniesienia dla mojej mamy w sposobie, w jaki starała się mnie wychować. Dziękuję bardzo.

My również bardzo dziękujemy. A na zakończenie: gdyby mógł Pan cofnąć się do ostatnich dni sierpnia 1944 roku, co powiedziałby Pan swojej babci?

To jest bardzo trudne pytanie. Kobięcie powiedziałbym: „Pamiętaj, że zostawiłaś w domu dzieci”. A lekarzowi wojskowemu powiedziałbym po prostu: „Podziwiam cię i nigdy nie przestanę”.



Paweł Karłowski

(ur. 1964) – wnuk dr Hanny Petrynowskiej, ps. „Rana” i Mariana Petrynowskiego, którzy pełnili funkcję lekarzy zakładowych w PWPW w latach 30. i 40. ubiegłego wieku, syn Ireny Petrynowskiej-Karłowskiej. Absolwent Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. Prywatnie mąż oraz tata córki Julii i syna Aleksandra. Zawodowo związany z branżą IT i telekomunikacji.

27 dni powstańczej Wytwórni

1940 r. – powołanie Podziemnej Wytwórni Banknotów (PWB/17), kierowanej przez majora Mieczysława Czyżyńskiego „Pełkę”, która do 1944 r. dostarczała Armii Krajowej fałszywe dokumenty oraz banknoty – w sumie ok. 18 milionów zł.

Sierpień 1942 r. – w związku z możliwością dekonspiracji PWB/17 kończy druk fałszywych banknotów. Nadal wytwarza inne dokumenty i prowadzi sabotaż.

Wiosna 1944 – przekształcenie grupy w PWB/17/S z zadaniem opanowania PWPW w Godzinie „W”.

Koniec lipca 1944 r. – członkowie PWB/17/S gromadzą się w Wytwórni wraz z nowo zaprzysiężonymi. Pogotowie przed Godziną „W”.

2 sierpnia 1944 r. godz. 14 – zdobycie Wytwórni przez Powstańców po ataku od środka (PWB/17/S) i z zewnątrz (batalion im. Czarnieckiego, batalion „Wigry”, pluton oddz. „P20”, oddział kompanii „Wkra” z batalionu „Łukasiński”, drużyny NSZ z Brygady Zmotoryzowanej „Młot”, żołnierze z: kompanii „Orleń”, ze 104. Kompanii Syndykalistów oraz z Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa i batalionu „Czwartacy”. Ponadto spora liczba cywilów. Poszczególne drużyny powstańcze obsadzają stanowiska w Wytwórni, a drużyna Romana Marchla „Roma” – budynek mieszkalny na ul. Rybaki. W PWPW rozpoczyna działalność punkt sanitarny.

3 sierpnia – pierwsza próba odzyskania Wytwórni przez Niemców, m.in. za pomocą silnego ostrzału, czołgów Panther i piechoty. Walki milkną dopiero wieczorem.

9 sierpnia – próby sforsowania ul. Konwiktorskiej przez piechotę niemiecką. Stały, ciężki ostrzał artyleryjski PWPW i budynku mieszkalnego od strony Cytadeli z pociągu pancernego i z dział ustawionych na Pradze.

10 sierpnia – ostrzał PWPW zaczyna wspomagać niemiecki ciężki uzbrojony kuter rzeczny. Do stałej załogi Wytwórni dołącza kompania ppor. Edmunda Osiejewskiego „Osy” z batalionu im. Jana Kilińskiego. Nasiłają się bombardowania z powietrza.

16 sierpnia – silny ostrzał czołgów i piechoty na barykadę „Zakroczyńska” i zachodnią część PWPW. Dotkliwe straty kompanii „Osy”.

19 sierpnia – pierwszy dzień niemieckiego szturm walnego na Stare Miasto z udziałem lotnictwa bombowego, pociągu pancernego, dział szturmowych, „goliatów”, moździerzy, miotaczy min i płomieni.

21 sierpnia – obrona PWPW zostaje wzmocniona zgrupowaniem ppłk. Jana Szypowskiego „Leśnika”.

23 sierpnia – niespodziewane natarcie i zdobycie przez Niemców domu mieszkalnego PWPW.

23/24 sierpnia – kolejne próby odbicia domu mieszkalnego pod dowództwem ppor. Mariana Gorzkowskiego „Szarego” ze zgrupowania „Leśnik”. Nad ranem budynek zostaje odzyskany przez Powstańców.

24 sierpnia – seria ataków niemieckiego lotnictwa, artylerii i piechoty, przede wszystkim na pomieszczenia obecnego klubu „Szkatuła”. Dotkliwe straty i rozbięcie drużyny „Roma”.

25 sierpnia – budynek mieszkalny przechodzi z rąk do rąk, ostatecznie utracony wieczorem po użyciu przez nieprzyjaciela gazów bojowych.

26 sierpnia – transporter ładunków wybuchowych spowodował rozerwanie ogrodzenia PWPW w miejscu najbliższym budynku (blok W) i opanowanie przez piechotę niemiecką jego górnych pięter. Ustaje atak artyleryjski i lotniczy.

27 sierpnia – dalsze boje wewnątrz budynku. Zła pozycja Powstańców, spychanych na coraz niższe kondygnacje. Wielu zabitych i rannych, zmęczenie, brak snu i bardzo wysoka temperatura spowodowana pożarem górnych kondygnacji osłabiają możliwości utrzymania Wytwórni w polskich rękach.

28 sierpnia – łamie się opór Powstańców. Ginie ostatni dowódca PWB/17/S por. Czesław Lech „Biały”. Wśród ostatnich opuszczających Wytwórnę są m.in. Leszek Grodecki „Lis”, Bogusław Kaufmann „Bogiel”, Tadeusz Bednarek „Błyskawica” i Czesław Zaborowski („Cesiek”, „Lalka”). Ludność cywilna i ranni z lazaretu, schronieni na terenie PWPW w bunkrze dla prezydenta Mościckiego, dostają się w ręce hitlerowców. Ci spośród nich, którzy brali udział w obronie, zostają rozstrzelani w okolicach Cytadeli. Podczas zajmowania schronu przez okupanta ginie zawiadująca lazaretem dr Hanna Petrynowska „Rana”.

W ciągu 27 dni utrzymywania Wytwórni zginęło tu od 80 do 100 żołnierzy, gmach został zniszczony w 60 proc. a maszyny i urządzenia zostały zniszczone w 80 proc.

Na podst. Juliusza Kuleszy
opr. Tomasz Turek

Nauczył nas pamiętać



O Juliuszu Kuleszy opowiadają córka i wnukowie

Dla tysięcy czytelników był Powstańcem z PWB/17/S i kronikarzem Powstania Warszawskiego. Dla nich – przede wszystkim kochanym Tatą i Dziadzią. Córka oraz wychowani w Kanadzie wnukowie Juliusza Kuleszy wspominają człowieka, który historię Powstania przekazywał nie przez pomniki i daty, lecz przez rodzinne opowieści, wspólne spacerunki po Warszawie i codzienne rozmowy.



Juliusz Kulesza „Julek”

(19.05.1928–5.02.2025)



W czasie wojny uczeń tajnych kompletów gimnazjalnych i wieczorowych kursów Szkoły Graficznej, jednocześnie praktykant – rysownik w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Podczas Powstania łącznik, później strzelec Armii Krajowej w grupie PWB/17/S (drużyna „Roma”). Uczestnik obrony PWPW. Po Powstaniu dwukrotny uciekinier z Dulagu 121 (Pruszków). Po wojnie absolwent Wydziału Grafiki ASP Warszawa i członek Związku Polskich Arty-

stów Plastyków. Projektant grafiki wydawniczej, następnie dokumentalista Powstania Warszawskiego i autor ponad dwudziestu książek o Powstaniu oraz licznych artykułów prasowych. Odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Armii Krajowej. W roku 2018 został awansowany do stopnia kapitana Wojska Polskiego.

Zmarł 5 lutego 2025 r. w wieku 97 lat.

Doroto, jakim człowiekiem dla Ciebie był Juliusz Kulesza? Nie jako uczestnik Powstania, lecz na co dzień – jako tata?

Dorota Qaid: Jestem jedynaczką, więc zawsze byłam dla taty oczkiem w głowie. Jako dziecko mogłam robić z nim dosłownie wszystko, co chciałam. Zgadzał się praktycznie na każdą moją zachciankę. Później, już jako nastolatka, wyjechałam z Polski, więc moje życie potoczyło się trochę inaczej. Ale tata zawsze był moim wielkim przyjacielem. Był kimś, z kim mogłam szczerze porozmawiać i zapytać o każdą sprawę. Zawsze stał po mojej stronie i wiedziałam, że we wszystkim mogę na nim bezgranicznie polegać.

A jakie było dorastanie w domu Powstańca? Wiadomo, że ta kwestia nie była u Was tematem tabu. Czy jednak bywały momenty, że czułaś, iż jest to nagle coś bolesnego, o czym lepiej milczeć, czy raczej zawsze opowiadało się o nim z dumą i otwartością?

W naszym domu o Powstaniu mówiło się cały czas. Oczywiście dorastając w czasach PRL-u, miałam świadomość, że oficjalne podejście i możliwości mówienia o tym były zupełnie inne niż dzisiaj. Ale w czterech ścianach ten temat nie umierał. Mieszkaliśmy na Nowym Mieście, więc kiedy chodziłam z tatą na spacer, pokazywał mi krok po kroku okoliczne miejsca, w których walczył on sam albo jego koledzy.

Bardzo często organizowaliśmy też spotkania w domu. Odwiedzali nas Powstańcy – ja na nich mówiłam „żołnierze” – lub my chodziliśmy do nich: do „Roma” [Romana Marchla], do „Lisów” [Grodeckich – przyp. red.]



czy do Bogusia Kaufmana. W tym temacie po prostu wyrastałam, on był obecny na bieżąco.

Kiedy po raz pierwszy poczułaś, że Twój tata zrobił coś naprawdę niezwykłego? Czy jako dziecko rozumiałaś wagę tego wydarzenia, czy była to po prostu kolejna historia z przeszłości?

Na początku nie wydawało mi się to czymś nadzwyczajnym, bo tym tematem żyło się u nas każdego dnia. Pierwszy raz ogromną wagę tego wszystkiego zrozumiałam w 1979 roku, kiedy tata wydał swoją pierwszą książkę *Z „Tasiemką” na czołgi*. Rodzice zaprosili wtedy do nas wszystkich żyjących żołnierzy z jego oddziału, redaktorów z wydawnictwa i parę innych osób na małe przyjęcie promocyjne. Zobaczyłam ich wszystkich razem i dopiero wtedy dotarło do mnie, że udział taty i jego kolegów w Powstaniu to nie była tylko nasza codzienna, domowa rozmowa, ale coś ważnego na o wiele większą, historyczną skalę.

O kim Juliusz mówił najczęściej, wspominając Powstanie?

Przede wszystkim wspominał dwie osoby. Romana Marchlę, do którego miał niezwykle szacunek – mogę wręcz powiedzieć, że kochał go jak najbliższego członka rodziny. Drugą osobą był jego brat cioteczny, Janusz „Kruk”, który zginął w Powstaniu w okolicach Nowego Miasta. Janusz był od taty o jakieś dwa lata starszy i zawsze stanowił dla niego wzór, był rodzajem idola. Był przy stojny, miał niesamowitą werwę i w czasach przedpowstańczych był najbliższym towarzyszem taty. Ich dwóch wspominał najsilniej.

[...] tata zawsze był moim wielkim przyjacielem. Był kimś, z kim mogłam szczerze porozmawiać i zapytać o każdą sprawę. Zawsze stał po mojej stronie i wiedziałam, że we wszystkim mogę na nim bezgranicznie polegać.

Jak zmieniło się Twoje postrzeganie Powstania Warszawskiego od czasów dzieciństwa do dzisiaj?

Główna różnica polega na tym, jak wyglądają dziś ogólne, oficjalne obchody. Gdy byłam dzieckiem i młodą dziewczyną mieszkającą w Polsce, nie wolno było świętować rocznic w taki sposób, jak robi się to teraz. Odkąd mieszkam poza krajem, przyleciałam do Warszawy na rocznicę wybuchu Powstania już kilka razy. To, jak miasto teraz oddaje hołd Powstańcom, jest niezwykle wzruszające i napędza mnie ogromną dumą. To, co robi Warszawa, jest po prostu piękne.

Wspominałaś o tych częstych spotkaniach taty z kolegami z oddziału. Jak bliskie to były relacje?

W ciągu roku spotykaliśmy się tak około dziesięciu razy, licząc imieniny Romana, jego żony, rocznice powstańcze czy wizyty u innych kolegów. Rodzice zawsze mnie ze sobą zabierali. Ta głęboka przyjaźń, która narodziła się między

chłopakami w czasie walk, z biegiem lat naturalnie przerodziła się w przyjaźń między całymi naszymi rodzinami. Przecież z Maćkiem, młodszym synem „Lisa”, mam kontakt do dzisiaj.

Czujesz się członkiem tej naszej powstańczej rodziny Reduty PWPW? Czy jako córka Juliusza odczuwasz tę wyjątkową więź z Wytwórnią?

Jestem ogromnie zaszczycona, że PWPW zaprasza mnie przy każdej okazji, gdy tylko odwiedzam Polskę. Czuję się tu jak w domu. Jestem Wytwórni niezwykle wdzięczna za wszystko, co przez te lata robiła dla taty i dla innych Powstańców. Ta więź jest bezdyskusyjnie bardzo bliska. Z tego, co wiem, nie ma w Warszawie drugiej takiej instytucji, która w tak piękny sposób honorowałaby, otaczała opieką i pamięcią swoich dawnych bojowników, a później również ich rodziny.

A co czujesz, kiedy patrzysz dziś na gmach Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych?

To znowu powrót do moich wspomnień z dzieciństwa na Nowym Mieście, gdy tata zabierał mnie na spacer wokół PWPW i budynku mieszkalnego przy Rybakach. Opowiadał mi wtedy dosłownie krok po kroku, dzień po dniu, całą tę historię. Dzisiaj ten widok zawsze wywołuje we mnie głębokie wzruszenie. Ten gmach to po prostu część naszego domu.

Gdybyś miała dziś stanąć na ulicy Sanguszkii przed gmachem Wytwórni i powiedzieć jedno zdanie walczącym tam wtedy ludziom, co by to było?



Przede wszystkim powiedziała-bym im: dziękuję. Podziękowała-bym za to, co zrobili. Patrę na to z dzisiejszej perspektywy i sama nie wiem, czy byłabym zdolna do tak ogromnej odwagi i tak wielkiego poświęcenia. To był niesamowity, heroiczny zryw całego pokolenia i jestem im za to głęboko wdzięczna.

Tato nawet kiedyś śmiał się ze swojej przeszłości. Opowiadał, że jako jedynak był wychowywany w ciepłarnianych warunkach przez mamę i dwie babcie, które nie pracowały, tylko chuchały na niego, dmuchały i traktowały go jak księcia. Mówił wprost, że gdyby nie wybuch Powstania, zapewne wyrósłby na rozpieszczonego, niezaradnego i ślamazarnego maminsynka. Powstanie w brutalny sposób nauczyło go odpowiedzialności, zaradności i – jak sam mawiał – zrobiło z niego mężczyznę.

Co z tych licznych opowieści Juliusza chciałabyś przekazać nam – osobom, które pracują

w Wytwórni i starają się nieść jego historię dalej?

Że kultywowanie tej historii to nie tylko sucha pamięć i należny Powstańcom szacunek, choć to oczywiście fundament. Ważniejsze jest uświadomienie sobie, że to dzięki ich poświęceniu mamy dziś wolny kraj i możemy być dumni z Polski oraz z Warszawy. To jest dziedzictwo, które musimy nieustannie pielęgnować i przekazywać kolejnym pokoleniom.

Przez całe życie słuchałaś tych powstańczych historii. Czy było jednak jakieś pytanie, którego ostatecznie nigdy tacie nie zadałaś?

Tak. Zawsze intrygowało mnie, jakie to jest uczucie, kiedy strzela się do drugiego człowieka z intencją odebrania mu życia. To przecież ostateczna, potworna decyzja. Nigdy jednak nie odważyłam się zadać tacie tego pytania wprost. Wielokrotnie słyszałam za to w jego opowieściach, że kiedy stajesz twarzą w twarz

z wrogiem, który celuje bezpośrednio w ciebie i chce cię zabić, decyzję o pociągnięciu za spust podejmuje się zupełnie inaczej. To była kwestia przetrwania.

Zwróćmy się teraz do wnuków Juliusza. Omarze, Jacku – jak z Waszej perspektywy, osób urodzonych i wychowanych w Kanadzie, wyglądała ta powstańcza historia dziadka?

Omar Khan: Dla mnie był przede wszystkim Dziadzią – dorastając, tak go właśnie postrzegałem. Spotykaliśmy się z nim w każdej wakacji i pamiętam, że zawsze opowiadał nam o swoim życiu – o tym, co zrobił jako żołnierz dla swojego kraju. Ale w moich oczach zawsze był po prostu Dziadzią, który opiekował się mną i moim bratem, gdy przyjeżdżał do nas do Kanady. Kiedy to my odwiedzaliśmy Polskę, odkładał wszystko na bok; był niesamowicie kochany i otwarty. Oczywiście dzielił się z nami wieloma historiami o swojej wojennej roli. Mam z tego czasu z nim wyłącznie miłe, wspólnie wspomnienia.



Jacek Khan: Mam dokładnie takie same odczucia. Kiedy dorastaliśmy, zanim jeszcze po raz pierwszy odwiedziliśmy Polskę, znaliśmy go tylko ze zdjęć. Słyszeliśmy opowieści o Dziadzi – o tym, że przyjeżdżał do nas i pomagał nas wychowywać, ale byliśmy wtedy jeszcze za mali, by to pamiętać. Dopiero gdy zaczęliśmy przyjeżdżać do Polski częściej, mieliśmy okazję poznać go naprawdę blisko. Obaj jesteśmy ogromnymi szczęściarzami, że urodziliśmy się w czasach, kiedy wszystkich czworo naszych dziadków jeszcze żyło. Ale to – myślę, że mówię w imieniu nas obu – z nim byliśmy z nich wszystkich najbliżej i ta wyjątkowa relacja przetrwała do samego końca. Za każdym razem, gdy lądowaliśmy w Polsce, Dzia-

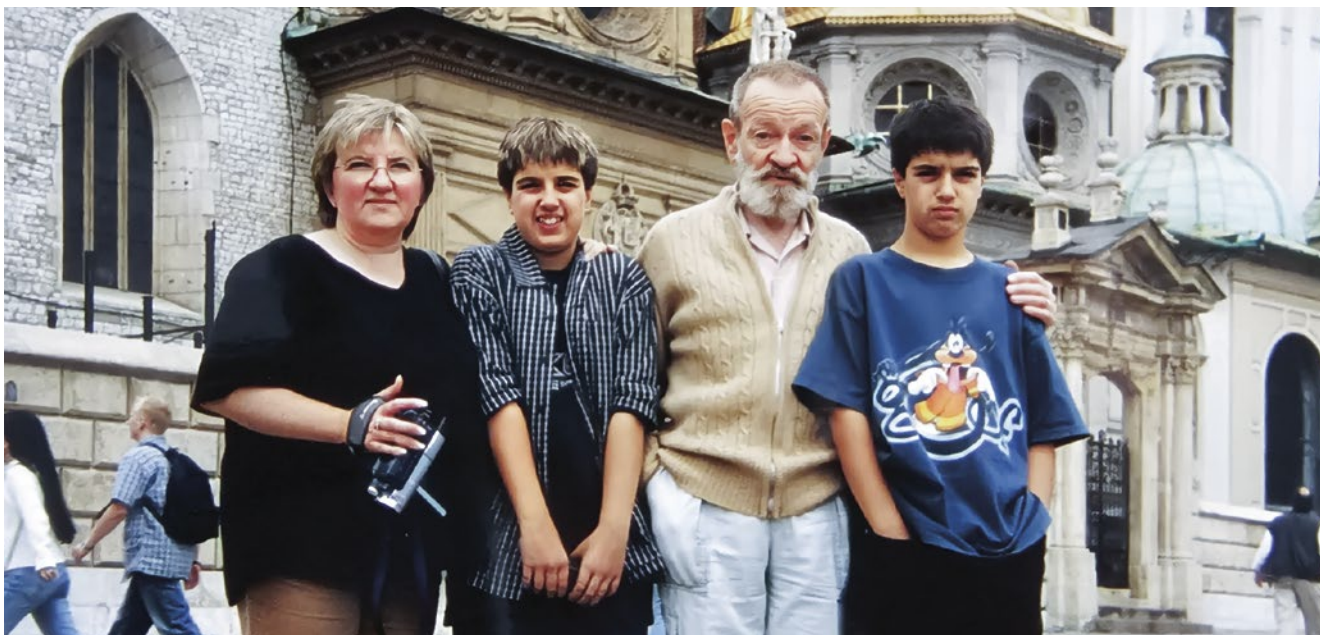
Za każdym razem, gdy lądowaliśmy w Polsce, Dziadzia chciał nam pokazać swój dom, swój kraj i swoją historię. W ten sposób poznawaliśmy go też jako żołnierza. Był niesamowicie dumny, że może się tym z nami dzielić.

dzia chciał nam pokazać swój dom, swój kraj i swoją historię. W ten sposób poznawaliśmy go też jako żołnierza. Był niesamowicie dumny, że może się tym z nami dzielić.

Omar: Chciałbym jeszcze dodać do tego kilka rzeczy. Dziadzia miał te swoje wyjątkowe „dziadkowe momenty” – na przykład gdy smażył nam jajka. Kiedy prosiliśmy go, żeby zrobił je w konkretny sposób, on i tak zawsze robił je po swojemu. Poza tym cały czas dla nas rysował; w końcu był grafikiem, artystą. Poświęcał nam cały swój czas. Uczył nas też grać w szachy – także tego, jak celowo przegrywać. Mógł nas przecież z łatwością pokonać za każdym razem, ale to była po prostu taka wspólna zabawa. Fajna, ale edukacyjna i pełna cierpliwości. To są te rzeczy, które najbardziej pamiętam. Jego drobnych przyzwyczajeni i nawyków było tak dużo, że trudno mi to wszystko teraz ogarnąć.



Omar i Jacek



Dorota, Omar, Juliusz i Jacek w roku 2003 w Krakowie

Warszawa była dla Waszego dziadka całym życiem. Jak wy, przez jego postać, postrzegacie to miasto i historię Powstania Warszawskiego?

Omar: On tym żył... Walczył za Polskę, za to miasto. Urodził się w 1990 roku. To był zupełnie inny kraj w porównaniu z czasami jego młodości. Znam historię Powstania Warszawskiego i rolę Polski w wojnie, ale znam je właśnie przez jego pryzmat. Nie doświadczyłem tego osobiście, ale moje powiązanie z tymi wydarzeniami powstało przez filmy, które mi pokazywał, przez wszystkie muzea, do których nas zabierał, i przez uroczystości w PWPW, na które byłem zapraszany.

Nawet kiedy podróżowaliśmy po Polsce, potrafił nagle wskazać jakieś miejsce i opowiedzieć, co się tam wydarzyło albo że zna kogoś, kto tam walczył. Mówił, że to jest jego ziemia. Moja więź z Powstaniem Warszawskim istnieje całkowicie dzięki niemu i przez jego pryzmat.

Jacek: Podpisuję się pod tym. Chciałbym to jeszcze raz podkreślić: bez Dziadzi, gdyby nie by-

ło go z nami, Powstanie byłoby dla nas tylko kolejnym, suchym faktem z przeszłości, o którym człowiek po prostu się dowiaduje. Czytaliśmy o tym tak, jak każdy inny. Ale ponieważ spędziliśmy z nim tyle czasu i słuchaliśmy jego opowieści, na przykład podczas spacerów po Warszawie, kiedy nagle zaczynał mówić o walkach, mogliśmy znacznie lepiej poczuć rzeczywistość tamtych wydarzeń. Ta bliskość sprawiła, że nasza relacja z tym fragmentem polskiej historii stała się dużo bardziej osobista. To, że mogłem poznawać ją bezpośrednio przez doświadczenia naszego Dziadzi, jest dla mnie absolutnie fascynujące i bardzo się cieszę, że mogę dzielić się tym z innymi.

Jak reagowaliście, kiedy dziadek dzielił się z Wami tymi wspomnieniami? Czy była jakaś konkretna historia, która wywarła na Was największe wrażenie?

Omar: Szczerze mówiąc, nie chodziło nawet o to, co wtedy czułem. Bardziej o to, że widziałem, w jaki sposób on się tymi historiami dzielił. Kiedy opowiadał, niesamowicie

skracał dystans, niesamowicie się angażował, a jego głos się zmieniał.

Pamiętam, że go zapytałem: „Czy strzelałeś do ludzi? Czy strzelałeś do wrogów?”. To były dla niego bardzo osobiste, głębokie opowieści, ale dzielił się nimi z nami w najdrobniejszych detalach. Pytałem go między innymi o tę tragiczną historię, kiedy ranny został jego kolega z drużyny – Dziadzia razem z drugim kolegą musieli przenieść go do lazaretu.

Samo słuchanie tego, jak o tym opowiadał, już robiło ogromne wrażenie. Bardzo zależało mu na tym, żeby jego doświadczenie przetrwało, i uważam, że wykonał pod tym względem niesamowitą pracę. Nie potrafię jednak wskazać jednej konkretnej historii czy jednego momentu, który poruszył mnie najbardziej. Za każdym razem, kiedy się z nami czymś dzielił, było to fascynujące. To go w naszych oczach definiowało

Jacek: Tak, u mnie było podobnie. Te historie były dla niego niezwykle osobiste, podobnie jak to, jak nam je tłumaczył. Tak jak wspominał Omar, byliśmy wtedy bardzo młodzi. Pytaliśmy go



o każdy możliwy szczegół, jaki tylko przyszedł nam do głowy – o każdy aspekt walki czy wojny, który potrafiliśmy sobie wyobrazić. Jak to młodzi chłopcy. A on się nie wstydził ani nie unikał tych tematów. Opowiadał nam o wszystkim ze szczegółami.

Był genialnym gawędziarzem, a my uwielbialiśmy go słuchać i chłonęliśmy każde jego słowo.

A kiedy dziś przechodziecie obok gmachu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, co czujecie?

Omar: Odpowiedź jest dość trudna, bo nie mieszkam tutaj i nie widuję tego miejsca na co dzień. Kiedy patrzę na ten budynek, myślę: „To tutaj walczył mój Dziadzia, to była jego drużyna, jego oddział” – czy jakkolwiek się to nazywa. To niesamowity kawał historii. Patrzę na ten gmach przez pryzmat Dziadzi, jego kolegów i ludzi, z którymi wtedy walczył. Ale trudno mi to opisać słowami.

Jacek: Ja jestem z tego dumny. Kiedyś przejeżdżaliśmy niedaleko ze znajomym i pierwszą rzeczą, jaką powiedziałem, było to, że

mój Dziadzia bronił tego miejsca. Bardzo się cieszyłem, że mogłem o tym z nim rozmawiać. Opowiadałem, że to miejsce było mu niezwykle bliskie, kiedy był młody, bo tu walczył. A przecież pod wieloma względami był to ważny punkt oporu dla walczących Polaków. Jestem dumny, gdy o tym opowiadałem. Zawsze się uśmiecham, gdy widzę ten budynek.

Gdybyście mogli przekazać przesłanie ludziom, którzy dziś tu pracują i dbają o pamięć historyczną, co byście powiedzieli?

Omar: Powiedziałbym: trzymajcie się tego, co robicie. Nie odpuszczajcie tej historii. Dbajcie o to, by ten przekaz szedł w świat, dawajcie głos ludziom, którzy jeszcze mogą opowiedzieć o tamtych dniach. Myślę, że Dziadzia byłby niezwykle wdzięczny wszystkim, którzy nad tym pracują, nagrywają filmy, organizują spotkania i edukują młodzież. To jest właśnie to, za co ci, którzy walczyli za Warszawę i Polskę, byliby Wam najbardziej wdzięczni.

Jacek: Ja po prostu powiem: dziękuję. Dziękuję Wam, całemu zespołowi i wszystkim pracowni-

kom PWPW, bo robicie dokładnie to, czego chciałby Dziadzia. Chyba zawsze dbaliście o żyjących weteranów, pilnujecie tej historii i ocalacie ją od zapomnienia. Mówię „dziękuję”, bo to jest ważne. Ważne dla mnie, dla mojego brata i dla naszej mamy, ale też dla całego mnóstwa ludzi. Dziękuję.

Gdy słyszycie hasło „Powstanie Warszawskie”, jakie trzy słowa pierwsze przychodzą wam do głowy?

Omar: Powstanie Warszawskie kojarzy mi się przede wszystkim z trzema słowami: odwaga, waleczność i historia.

Jacek: Podkradłeś mi to słowo, ale ja też na pewno wskażę waleczność. Ale też bohaterstwo. Dziadzia był taki młody, kiedy poszedł walczyć. Przecież nie wybrał sobie takiego losu, ale po prostu zrobił to, co było trzeba. I trzecie to oczywiście historia. Powstanie jest absolutnie kluczową, nieodłączną częścią polskiej historii, a zwłaszcza historii samej Warszawy.

Bardzo dziękujemy za tę piękną i wzruszającą rozmowę.

Dorota Qaid

(ur. 1962) – córka Juliusza Kuleszy. Od 1981 roku mieszka w Kanadzie, gdzie wyjechała na rok, a została na resztę życia. Tu ukończyła NBC College, wyszła za mąż i urodziła bliźniaki: Jacka i Omara. Od ponad 30 lat pracuje w banku jako doradca finansowy.

Omar Khan

(ur. 1990) – wnuk Juliusza Kuleszy. Ukończył studia magisterskie na Wydziale Polityki i Prawa Międzynarodowego w londyńskim King's College. Jako jego stypendysta przeprowadził się do Chin, gdzie od kilkunastu lat pracuje w CGTN (China Global Television Network) jako Senior International News Editor.

Jacek Khan

(ur. 1990) – wnuk Juliusza Kuleszy. Ukończył studia magisterskie na Wydziale Inżynierii Lotniczej na University of Toronto. Przez kilka lat był oficerem w kanadyjskim lotnictwie wojskowym, po czym wrócił do cywila i pracuje w Lockheed Martin Canada w Ottawie jako Senior Systems Engineer.



Okolice Wytwórni po Powstaniu. Niemieckie zdjęcie lotnicze wykonane przez załogę Luftwaffe 26 października 1944 r.
Źródło: National Archives, College Park

Czułam wagę tego, co zrobili moi rodzice



Rozmowa z Marią Lech-Czerny, córką Czesława Lecha „Białego”, zastępcy komendanta obrony PWPW

Gdy upadała powstańcza Reduta PWPW, miała zaledwie kilka lat. Choć nie pamięta ojca, całe życie upłynęło jej w cieniu jego bohaterskiej śmierci. Maria Lech-Czerny opowiada o ucieczce pod ostrzałem, ocaleniu żydowskiej dziewczynki przez jej rodziców, wiadomości o śmierci taty przyniesionej przez 17-lletniego Juliusza Kuleszę oraz o jedynej pamiątce wyniesionej z ruin Warszawy – rodzinnym krzyżu, na który Powstańcy składali przysięgę AK.



Czesław Lech „Biały”

(24.04.1904–28.08.1944)



Ukończył liceum w Mławie. Od 1930 r. podporucznik zawodowy artylerii po ukończeniu szkoły podchorążych w Toruniu, oficer 9. Dywizjonu Artylerii Konnej w Baranowiczach, w roku 1934 przeniesiony w stan spoczynku. Po odbyciu kursów buchalterskich od 1936 r. był inspektorem kontroli w PWPW. Podczas okupacji oficer ZWZ/AK (od 1942 r. porucznik, pośmiertnie kapitan). Zastępca do-

wódcy grupy PWB/17/S i dowódca jej zespołu bojowego. Podczas Powstania dowodził zdobyciem PWPW od wewnątrz, następnie zastępca komendanta obrony PWPW. Podczas ostatnich bojów o gmach nie skorzystał z propozycji przeniesienia do sztabu zgrupowania „Róg” i – walcząc w oddziale osłonowym – poległ przy wycofywaniu się załogi. Odznaczony Krzyżem Orderu VM V klasy i Krzyżem Walecznych.

W Powstaniu Warszawskim zginął Twój tata, Czesław Lech, pseudonim „Biały”. Jak w Waszym domu mówiło się o wojnie i samym powstańczym zrywie?

Maria Lech-Czerny: Okres Powstania i okupacji to czas mojego wczesnego dzieciństwa, dlatego przez bardzo długi czas takich rozmów w ogóle nie było w naszym domu. Po wojnie czasy nie sprzyjały kultywowaniu pamięci o działaniach Armii Krajowej. Wszystko było osnute tajemnicą. Moja mama, która została sama, bez domu i bez jakiegokolwiek dobytku – bo wszystko straciliśmy w Powstaniu – musiała samotnie wychować mnie i mojego brata. Chroniła nas przed niebezpieczeństwami tamtego okresu.

Dopiero po roku 1956 zaczęto mówić jawnie o tym, kim byli AK-owcy, kim był mój ojciec i jakie prowadził działania. Opowiadano nam – dzieciom, sierotom, bo oprócz taty w wojnie zginęli także jego dwaj bracia oraz brat mamy – z wielkim wzruszeniem i dumą o tym, jak bezinteresownie walczyli o niepodległość kraju.

A jakim człowiekiem Twój tata był prywatnie? Zapamiętałaś go?

Rodzinnie był na pewno wspaniały. Bardzo kochał mamę, swoich braci, a nas – swoje dzieci – podobno wręcz ubóstwiał. Niestety byłem zbyt mała i nie pamiętam tych uczuć fizycznie, ale mam w sobie jakąś taką wewnętrzną, głęboką świadomość jego miłości. Bardzo często rozmawiam z tatą, patrząc na jego fotografię, i naprawdę czuję wtedy bijące od niego ciepło.

Był człowiekiem opanowanym, szlachetnym, niezwykle energicznym i przedsiębiorczym, a przy tym bez wątpienia bohaterskim.



Jak wspominał kiedyś Julek Kulesza, tata swoją sylwetką, rysami i wyrazem twarzy bardzo przypominał Napoleona Bonaparte. Miał silny charakter i był wymagający wobec innych, ale od siebie samego zawsze dawał najwięcej. Był pełen poświęcenia i troski o wszystko, co go otaczało.

Walki o Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych trwały aż 28 dni. Jaki obraz tej bitwy zarysowała przed Tobą mama?

Mama mówiła przede wszystkim o ogromnej tragedii i nieustannym niebezpieczeństwie. Opowiadała o naszym pobycie w schronach i o tym, jak potwornie ciężko było jej patrzeć na śmierć tak wielu młodych ludzi. Mimo tego całego koszmaru starała się ukształtować w nas obraz Powstańców jako bohaterów, którzy bez wahania i bezinteresownie oddali życie za wolność.

Czy były jakieś pytania dotyczące tamtych dni, których bałaś się zadać mamie?

Nie, nigdy nie było takich pytań. Nasze rozmowy zawsze były całkowicie otwarte.

Co najczęściej wspominacie, gdy wracacie myślami do samego Powstania? Zapamiętałaś jakieś konkretne sytuacje?

Wspominamy głównie to, że jako małe dzieci byliśmy nieustannie przerażeni. Podczas okupacji moi rodzice ukrywali w naszym domu młodą Żydówkę, Helenkę. W czasie Powstania byłam pod jej opieką i pamiętam, że gdy tylko działo się coś złego, zawsze uciekałam w jej ramiona. Mama była nawet zdziwiona, że to właśnie u niej znajdowałam największe po-

Bardzo kochał mamę, swoich braci, a nas – swoje dzieci – podobno wręcz ubóstwiał. Niestety, byłam zbyt mała i nie pamiętam tych uczuć fizycznie, ale mam w sobie jakąś taką wewnętrzną, głęboką świadomość jego miłości.

czucie bezpieczeństwa. W schronie obie zostałyśmy lekko ranne odłamkiem granatu, który wpadł do środka.

Samego ojca z tamtego okresu fizycznie nie pamiętam. Nie mam przed oczami żadnych konkretnych osób. Ale noszę w sobie głębokie wewnętrzne przekonanie oraz świadomość tego, że tam byłam i to wszystko przeżyłam.

Twoje postrzeganie Powstania musiało się zmieniać na przestrzeni lat. Jak widziałaś to jako nastolatka?

Kiedy byłam nastolatką, to również był dla mnie niezwykle trudny czas, ponieważ nie mieszkalam już wtedy z mamą. Po przejściu przez obozy w Pruszkowie i Piotrkowie Trybunalskim mama nie miała dosłownie nic. Zatrzymała się u rodziny swojego brata w Ciechanowie. Na początku mieszkaliśmy tam w bardzo dobrych warunkach, w willi należącej do tej rodziny. Niestety, bardzo szybko ówczesne władze komunistyczne wyeksmitowały nas stamtąd i tra-

filiśmy do nędznego lokalu socjalnego. Mieszkaliśmy tam we trójkę: mama, mój brat i ja.

Gdy skończyłam szkołę podstawową, mama odesłała mnie do Warszawy, do babci i cioci. To tutaj spędziłam swoją młodość i z tego powodu w tamtym okresie nie miałam z mamą tak bliskiego, codziennego kontaktu. Jednak w domu mojej cioci – rodzonej siostry ojca, której mąż został rozstrzelany przez Niemców w Palmirach – o historii mówiło się bardzo dużo. Słowo „bohater” padało tam nieustannie w odniesieniu do mojego taty, jego braci oraz męża cioci. Zawsze podkreślano, że walczyli do samego końca, wykazując się bezgranicznym poświęceniem i odwagą. Wychowano nas w głębokim przeświadczeniu, że pochodzimy z rodziny bohaterów.

Jak z perspektywy czasu oceniasz postać Juliusza Kuleszy i rolę, jaką odegrał w upamiętnieniu obrońców PWPW?

Julek Kulesza walczył w oddziale mojego taty jako zaledwie 17-letni chłopiec. Swoją powojenną pracą, pisanie książek i niestrudżonym dokumentowaniem wydarzeń historycznych ukształtował i nauczył kolejne pokolenia. Pokazał im, jak wspaniali i bezinteresowni byli ci ludzie. Jego praca to gigantyczny, tytaniczny wysiłek, o którym wszyscy musimy pamiętać. To wielkie szczęście, że został po sobie tyle publikacji, dzięki czemu młodzi ludzie wciąż mogą poznawać tę prawdę.

Mój tata zginął w ostatnich dniach obrony PWPW, walcząc w grupie osłonowej, która zabezpieczała wycofanie się reszty załogi. To właśnie Julek wraz z kolegami przyniósł mojej ma-



mie tę tragiczną wiadomość. Od-
szukali ją na Starówce, w jakimś
opuszczonym mieszkaniu, gdzie
mama koczowała ze mną, moim
bratem i ukrywaną Helenką.

Julek opowiadał mi po latach,
że gdy weszli do tego pokoju, po
prostu odebrało im mowę. Sta-
nęli w drzwiach we trzech, do-
rośli, umęczeni walką mężczyź-
ni, i nie potrafili wykrztusić ani
słowa. W tym jednym momen-
cie mama zrozumiała wszystko.
To była straszliwa tragedia, padła
na kolana, zalała się łzami... Julek
wyznał mi później, że ta chwila,
w której musiał przekazać niemą
wiadomość o śmierci swojego do-
wódcy jego żonie i dzieciom, by-
ła dla niego jednym z najbardziej
wstrząsających przeżyć całego Po-
wstania. A przecież sam był wtedy
jeszcze niemal dzieckiem.

A jak potoczyły się losy Helenki, Żydówki, którą uratowali Wasi rodzice?

Po upadku Powstania przeszła
wraz z nami przez obóz w Pruszk-
owie, a potem była z mamą

w Piotrkowie aż do wyzwole-
nia. Później wyjechała do Ło-
dzi, by odnaleźć swojego brata,
i tam szczęśliwie go zlokalizowa-
ła. W Łodzi przypadkowo spotka-
ła na ulicy Julka Kuleszę. Pozna-
li się od razu, bo Julek widywał
ją w naszym mieszkaniu jeszcze
w czasie okupacji. Wiedział oczy-
wiście, że jest Żydówką, choć wte-
dy ta wiedza była najgłębiej strze-
żoną, śmiertelną tajemnicą.

Z Łodzi Helenka udała się do ro-
dzinnego Zawichostu, ale nie za-
stała tam nikogo – cała jej rodzina
została zamordowana. Przez Niem-
cy wyemigrowała do Izraela i tam
osiadła na stałe, założyła rodzinę
i urodziła troje dzieci. Po roku 1956,
gdy wreszcie stało się to możliwe,
nawiązała kontakt z moją mamą.
Pisały do siebie do końca życia ma-
my, a potem Helenka pisała ze mną.
Kilka lat temu wraz z mężem pole-
ciałam do Izraela. Chciałam ją bar-
dzo zobaczyć, uściskać... Niestety
Helenka zmarła zaledwie dwa dni
przed naszym przylotem.

Spotkałam się jednak z jej
dziećmi i wnukami. Do dzisiaj

mam niezwykle bliski, serdeczny
kontakt z jej córką. Przyjęto nas
tam z tak niesamowitą, ogromną
wdzięcznością, że aż czułam za-
kłopotanie. Kiedy szliśmy ulica-
mi Hajfy czy Tel Awiwu, zupełnie
obcy ludzie, dowiadując się, że je-
stem córką człowieka, który ocalił
ich bliską, podchodzili, by uścis-
nąć mi dłoń i podziękować. To by-
ło potwornie wzruszające. Dopiero
tam, na miejscu, tak namacalnie
zrozumiałam pełną wagę i wiel-
kość decyzji moich rodziców.

**Jesteś strażniczką tej pamięci
także dzięki pamiątkom. Szczególnym przedmiotem w historii
Waszej rodziny jest powstańczy
krzyż, który najpierw przekaza-
łaś do Izby Muzealnej PWPW,
a który w ubiegłym roku tra-
fił do Muzeum Powstania War-
szawskiego. Jaka historia się za
nim kryje?**

Moi rodzice byli głęboko wierzą-
cymi ludźmi i ten krucyfiks wisiał
w naszym przedwojennym miesz-
kaniu. Ponieważ u rodziców odby-
wały się tajne spotkania, odpra-
wy i szkolenia konspiracyjne, to



właśnie na ten krzyż nowo wstępujący członkowie Armii Krajowej składali swoją przysięgę wojskową.

Gdy wybuchło Powstanie, a nasze mieszkanie zostało zniszczone, ten krzyż był jedyną rzeczą, jaką mama zdołała ze sobą zabrać. Stał się dla nas najświętszą relikwią. Codziennie jako dzieci modliliśmy się przed nim wspólnie z mamą. Przypominał nam o tacie, o wujkach, o trudach walki i o wszystkim, co nasza rodzina wycierpiała pod okupacją. W 60. rocznicę Powstania Warszawskiego zdecydowałam, że ta pamiątka powinna służyć wszystkim, i przekazałam ją do PWPW. Cieszę się, że teraz, za pośrednictwem Wytwórni, ten świadek historii znalazł swoje godne miejsce w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Czy uważasz, że Twoje dzieci i kolejne pokolenia powinny dalej głośno mówić o Powsta-

niu, czy raczej wolicie zachować te wspomnienia w rodzinnym gronie?

Zdecydowanie uważam, że musimy o tym mówić, i robię to każdego dnia, przy każdej możliwej okazji. Mój syn doskonale wie, kim był jego dziadek i nosi w sobie ogromną dumę z jego czynów. Bardzo się cieszę, że ten temat nie jest u nas tabu.

Czy czujesz osobistą więź z Polską Wytwórnią Papierów Wartościowych i środowiskiem rodzin dawnej Reduty?

Tak – ogromną więź i olbrzymi szacunek do wytwórni oraz do osób, które rokrocznie pamiętają o tamtych wydarzeniach i organizują uroczystości. Szczególne słowa uznania i podziękowań kieruję do dyrektora Moniki Olbryś, która od wielu lat współpracując z Juliuszem Kuleszą, swym ogromnym zaangażowaniem i wkładem pracy

sprawia, że pamięć o moim tacie i jego poległych towarzyszach broni nie ginie i będzie trwała dalej.

Chciałabym, żeby tak pozostało również wtedy, gdy mnie już zabraknie.

W naszym domu rocznice powstańcze są świętością. Zawsze pamiętamy o tych datach, wspólnie z synem odwiedzamy groby na Powązkach, cieszymy się, gdy harcerze wiążą na nich biało-czerwone szarfy i zapalają znicze. Te chwile wciąż głęboko przeżywamy.

A gdybyś dziś mogła stanąć przed gmachem przy ulicy Sanguszkii, przed tą Redutą, o którą tak mężnie walczył Twój tata, i miała skierować do niego tylko jedno zdanie... co by to było?

Powiedziałabym mu po prostu: „Tato, tak strasznie mi Ciebie brakuje. Jestem z Ciebie nieskończenie dumna”.

Maria Lech-Czerny

(ur. 1942) – jej dzieciństwo przypadło na okres okupacji niemieckiej oraz Powstania Warszawskiego. Do dziś przechowuje wspomnienia związane z wydarzeniami rozgrywającymi się na terenie Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, a także z pobytem w Piotrkowie Trybunalskim i w Pruszkowie.

Po zakończeniu wojny, aż do 1955 roku, mieszkała wraz z mamą i bratem w Ciechanowie. W 1955 roku wróciła do Warszawy, gdzie – już bez mamy – zamieszkała u babci i pozostałych członków rodziny. Ukończyła szkołę o profilu handlowo-ekonomicznym. Karierę zawodową rozpoczęła w Resorcie Chemii, pracując jako sekretarz wydawnictw chemicznych. Następnie związała się z międzynarodową firmą z branży motoryzacyjnej. Przez wiele lat była przedstawicielem handlowym, a później pełniła funkcje menedżerskie w strukturach holdingu.

Dzisiaj jest na emeryturze. Jako córka Powstańca Warszawskiego pozostaje świadkiem historii, której doświadczała od najmłodszych lat.

Rozmowy przeprowadzili: Monika Olbryś i Michał Przyborowski

Reduta PWPW

Obrona Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych w sierpniu 1944 roku

W historii Powstania Warszawskiego są miejsca, które urosły do rangi symboli. Do takich należy Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, gdzie garstka słabo uzbrojonych Powstańców przez wiele tygodni odpierała ataki przeważających sił niemieckich, tworząc jeden z najtwardszych bastionów walczącej stolicy.

Powstanie Warszawskie w perspektywie historycznej

Każda obchodzona rocznica Powstania Warszawskiego jest chwilą głębokiej zadumy i refleksji nad jednym z najbardziej doniosłych, a zarazem tragicznych wydarzeń w dziejach Polski. Wśród historyków i polityków nadal toczą się spory dotyczące jego oceny, przyczyn wybuchu oraz konsekwencji. Nie zmienia to jednak faktu, że Powstanie Warszawskie stało się jednym z najważniejszych symboli walki narodu polskiego o niepodległość.

Dzieje Powstania to przede wszystkim historia poszczególnych dzielnic Warszawy i rejonu podwarszawskiego, walczących tam zgrupowań, batalionów oraz mniejszych oddziałów, a także codziennego życia i cierpienia ludności cywilnej. Bitwa, jaka rozegrała się w sierpniu i na początku września 1944 roku na Starym Mieście, należała do najbardziej zaciętych i krwawych podczas całego Powstania. Kilkadziesiąt powstańczych bastionów i punktów oporu stawiało czoła silniejszemu przeciwniko-

wi. Wśród nich szczególne miejsce zajmowała Reduta PWPW, której obrońcy zdali niezwykle trudny egzamin.

PWPW jako przyszła twierdza

Warto przypomnieć, że wybudowany pod koniec lat 20. XX wieku w Warszawie kompleks gmachów Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, zaliczany do najnowocześniejszych tego typu obiektów w Europie, został jednocześnie przystosowany do pełnienia funkcji punktu oporu na wypadek konfliktu zbrojnego. Świadczyły o tym żelbetowa konstrukcja budynków, rozbudowana sieć podziemnych pomieszczeń oraz specjalnie przygotowany schron dla prezydenta Polski. Powstała w ten sposób solidna „twierdza”, powiązana z pobliskimi umocnieniami i Cytadelą.

W kampanii 1939 roku obiekty PWPW wykorzystano jedynie w ograniczonym stopniu do celów wojskowych, umiejscawiając tutaj punkt zborny dla rozbitych nad Bzurą oddziałów Armii „Poznań” i „Pomorze”.

Konspiracja w murach Wytwórni

W czasie okupacji niemieckiej wielu pracowników należało do organizacji konspiracyjnych, głównie ZWZ-AK. Najbardziej znany oddział PWB/17/S mjr. Mieczysława Chyżyńskiego „Pełki” podlegał bezpośrednio Oddziałowi VII Komendy Głównej ZWZ-AK.

Zgodnie z planem operacyjnym powstania powszechnego w Warszawie zorganizowano pluton WSOP liczący 60 ludzi do przejęcia PWPW oraz drugi pododdział, liczący 40 ludzi, z zadaniem obrony zakładu. Z kolei komórka administracji konspiracyjnej, kierowana przez przedwojennego dyrektora, por. rez. Józefa Neumanna „Kornela”, miała nie tylko zabezpieczyć zakład przed zniszczeniem, zwłaszcza park maszynowy i urządzenia, lecz również uruchomić produkcję po wyzwoleniu Warszawy.

Szturm na PWPW

Przyspieszona decyzja o rozpoczęciu Powstania w Warszawie wprowadziła wiele zmian w dotychczasowych planach. Na po-

czątku walk nie istniał jeszcze jednolity system dowodzenia na Starym Mieście. Inicjatywa działań zaczepnych wychodziła najczęściej od lokalnych dowódców oddziałów powstańczych. Nierzadko łączono siły różnych formacji, aby wykonać zadania przekraczające możliwości pojedynczych oddziałów.

Doskonałym przykładem była operacja likwidacji policyjnego punktu oporu na terenie PWPW. Jeden z redaktorów powstańczego pisma „W walce” określił go jako „ciern w żywym ciele Starówki”. W razie zagrożenia jego załoga mogła liczyć na wsparcie sił niemieckich stacjonujących w Cyta- deli oraz Fortach Legionów i Traugutta.

Zmobilizowany 1 sierpnia oddział PWB/17/S pod dowództwem por. Czesława Lecha „Białego”, dysponujący zaledwie kilkoma pistoletami, nie miał większych szans powodzenia w samodzielnym starciu z przeciwnikiem. Sytuację zmieniło nawiązanie współpracy z batalionem im. „Czarneckiego” kpt. Ludwika Giżyńskiego „Gozdawy”. Podstawą wspólnego planu działań było zaskoczenie i uderzenie w najsłabsze ogniwo niemieckiej obrony.

Zdobycie Wytwórnici

Walki o opanowanie PWPW trwały 2 sierpnia od godzin porannych do popołudniowych. Cel został osiągnięty w całości. Niemal jednocześnie z dwóch kierunków od zewnątrz zaatakowały wydzielone grupy batalionu „Gozdawy”, a od wewnątrz do akcji wkroczył zespół bojowy oddziału PWB/17/S.

Siła uderzenia Powstańców wzrosła po dołączeniu uzbrojonych pododdziałów i grup z batalionów „Łukasińskiego” i „Wigry”, kompanii „Orląt”, 104. Kompanii Syndykalistów, plutonu Kedywu oraz oddziałów PKB, NSZ i AL. W trakcie kilkugodzinnej bitwy odparto kontruderzenie nieprzy-

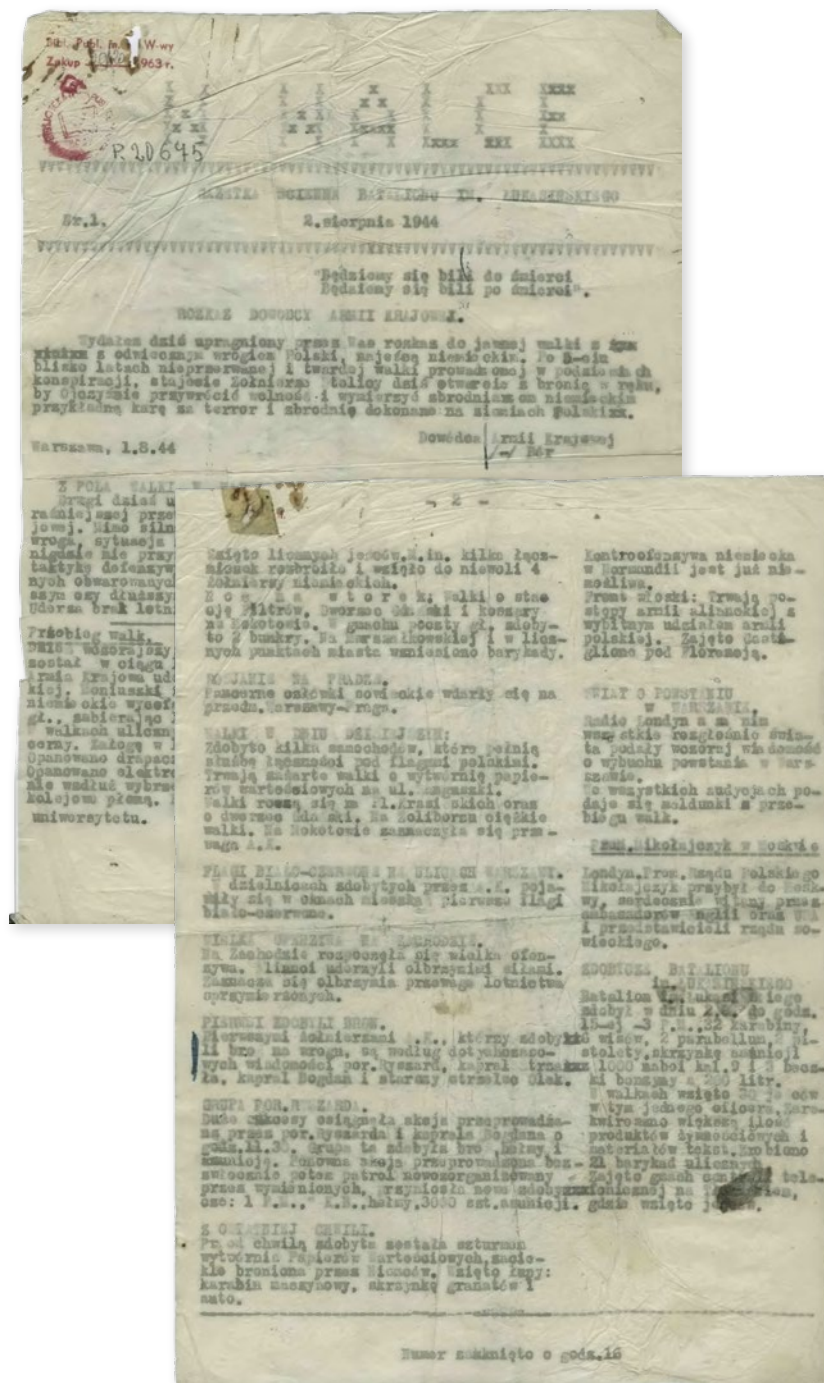
jaciela, które wyszło z Fortu Legionów. Nie powiódł się natomiast atak Powstańców w kierunku Fortu Traugutta.

Wykorzystując powodzenie, Powstańcy zajęli budynek mieszkalny PWPW oraz szkołę przy ulicy Rybaki. Jednocześnie przejęto magazyny żywności, składy tytoniu i papierosów oraz wojskowy magazyn umundurowania. Zdobyto

również pokaźną ilość uzbrojenia. Straty własne wyniosły kilku zabitych i kilkunastu rannych.

Wytwórnica nasza!

Walki o PWPW znalazły swoje odbicie w kolejnych numerach gazety „W walce”, wydawanej przez batalion im. „Łukasińskiego”. W numerze pierwszym z datą 2 sierp-



„W walce” – nr 1 z 2 sierpnia z notatką o zdobyciu Wytwórnici

nia, w rubryce „Z ostatniej chwili”, zamieszczono krótką wiadomość:

Przed chwilą zdobyta została szturmowa Wytwórnia Papierów Wartościowych. Zaciekle broniona przez Niemców, wzięto łupy: karabin maszynowy, skrzynkę granatów i auto.

W następnym numerze z 4 sierpnia uwypuklono rolę oddziału „Gozdawy”, pisząc:

W walkach o zdobycie Wytworni Papierów Wartościowych udział brał oddział im. Czarneckiego z batalionu Łukasieńskiego. W zwycięskiej walce wzięto 26 jeńców i 26 karabinów. Straty własne: 3 zabitych oraz ranni oficer, żołnierz i łączniczka.

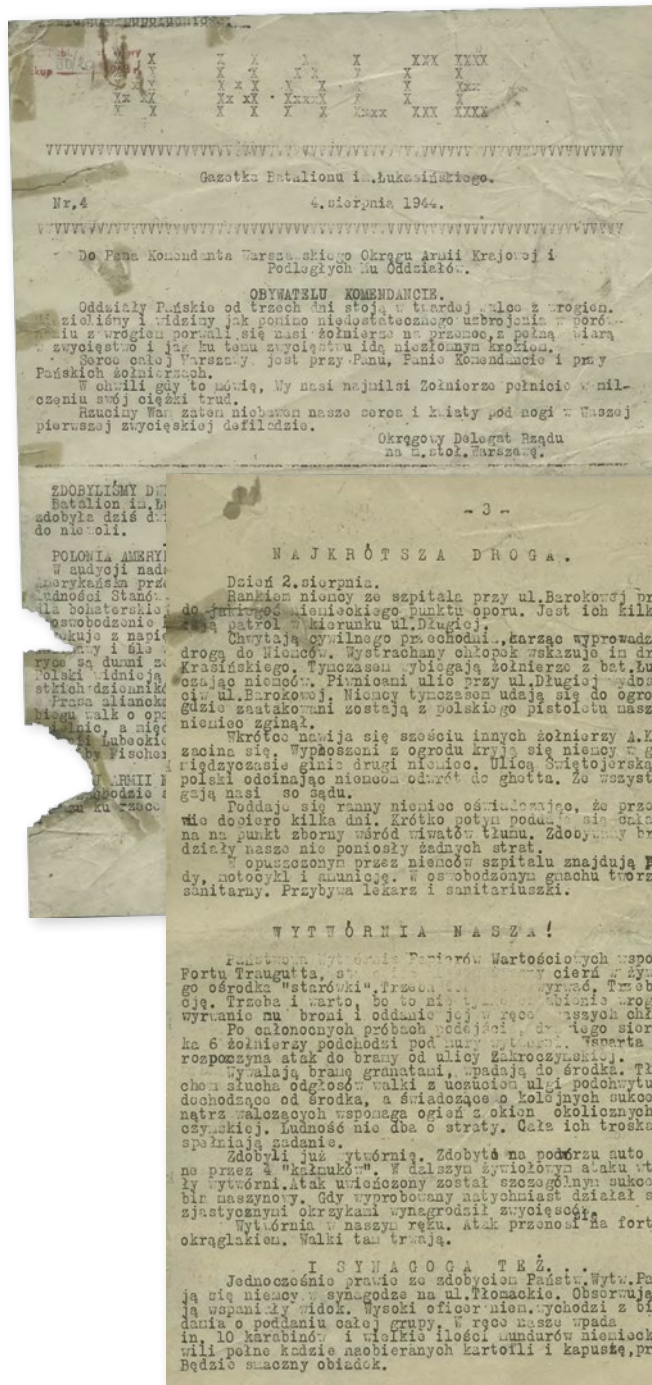
Obszerniejszy tekst autorstwa Juliusza Kolipińskiego „Bartka” ukazał się tego samego dnia w wieczornym numerze czwartym pod znamienym tytułem Wytwórnia nasza!, z którego pochodzi następujący fragment:

Po całonocnych próbach podejścia, drugiego sierpnia z rana grupa 6 żołnierzy podchodzi pod mury wytworni. Wsparta drugim oddziałem rozpoczyna atak do bramy od ul. Zakroczymskiej.

Wywalają bramę granatami, wpadają do środka. Tłum z zapartym oddechem słucha odgłosów walki, z uczuciem ulgi podchwytuje radosne okrzyki dochodzące od środka, a świadczące o kolejnych sukcesach.

Chłopców walczących wewnątrz wspomaga ogień z okien okolicznych domów przy ul. Zakroczymskiej. Ludność nie dba o straty. Cała ich troska przy tych, którzy spełniają zadanie.

Zdobyto już wytwornię. Zdobyto na podwórzu auto z amunicją bronione przez 4 „kałmuków”. W dalszym żywiołowym ataku wtargnięto do szkoły wytworni. Atak uwieńczony został szczególnym sukcesem. Zdobyto karabin maszynowy. Gdy wypróbowany natychmiast działał sprawnie, tłum entuzjastycznymi okrzykami wyngroził zwycięzców.



„W walce” - nr 4 z 4 sierpnia z tekstem „Wytwórnia nasza!”

Wytwórnia w naszym ręku. Atak przenosi się na Fort Traugutta, zwany okrąglakiem. Walki tam trwają.

Bastion obrony Starego Miasta

Opanowanie PWPW, posiadającej ogromne znaczenie strategiczne, było jednym z największych sukcesów Powstańców przy budowaniu zwartego systemu obrony

Starego Miasta. Wysunięta najbardziej na północ reduta stała się dla nieprzyjaciela zamkniętymi wrotami i zarazem twierdzą, której przez blisko cztery tygodnie nie udało się przełamać.

Od strony zachodniej osłaniała ją silna barykada przy ulicy Zakroczymskiej, od wschodu zaś system stanowisk obronnych na ulicy Rybaki.

Od 7 sierpnia za obronę rejonu PWPW i ulicy Konwiktorskiej odpowiadał mjr „Pełka”, dowódca Samodzielnej Grupy PWB/17/S, znanej także jako Samodzielna Grupa P.W.P.W. Licząca około 120 ludzi formacja dysponowała własnym szpitalem polowym i rozwinętym zapleczem logistycznym.

Grupa bojowa, licząca około 50 żołnierzy, odczuwała jednak dotkliwy niedostatek broni. W wyposażeniu znajdował się zaledwie jeden pistolet maszynowy, dziewięć karabinów i dziewięć pistoletów. Dlatego obronę wspierały okresowo sekcja ciężkiego karabinu maszynowego batalionu „Gozdawy”, plutony 104. Kompanii Syndykalistów oraz kompania por. Edmunda Osiejewskiego „Osy” z batalionu im. „Kilińskiego”. Ostateczna reorganizacja nastąpiła po przybyciu z Muranowa batalionu ppłk. Jana Szypowskiego „Leśnika”, który przejął dowodzenie wszystkimi oddziałami w tym rejonie.

W okresie alianckich zrzutów lotniczych nad Warszawą komendant PWPW mjr „Pełka” odpowiadał za wyznaczony rejon zrzutów obejmujący: rejon PWPW – Rybaki – Kościelna – Zakroczymska. Przy nim istniał punkt obserwacyjny z patrolami śledzącymi niebo i miejsca upadku zasobników ze spadochronami. Wiadomo, że co najmniej jedno znalezisko zostało zabezpieczone i odtransportowane na punkt zborny na ul. Długa 15a.

Święto Żołnierza w czasie walk

Szczególnym wydarzeniem dla lokalnej społeczności PWPW było Święto Żołnierza obchodzone 15 sierpnia 1944 r. Gazetka „Powstaniec” I Rejonu na Starym Mieście w numerze 3 z 17 sierpnia odnotowała:

W dniu 15.8 odbyły się w batalionach I Rej. AK skromne uroczystości ku upamiętnieniu święta Żołnierza. Szczególnie uroczyste wypadł obchód w Samodzielnej Grupie PWPW, połączony z Mszą św. celebrowaną

przez ojca Stefana, który wygłosił wzniósłe kazanie. Ołtarz zbudowany był na tle dwóch spadochronów o barwach narodowych. Po Mszy św. spożyto wspólnie obiad żołnierski.

Ostatnie dni obrony

Obronę bastionu powstańczego PWPW i przylegających do niego rejonów można podzielić na dwa zasadnicze okresy. W pierw-

szym Niemcy nie zdecydowali się na frontalny szturm na kompleks gmachów, obawiając się wysokich strat. Wybrali metodę narastającego ostrzału, prowadzonego głównie przez artylerię, pociąg pancerny i lotnictwo bombowe.

Ataki naziemne piechoty oraz czołgów skupiały się przede wszystkim na barykadzie przy ulicy Zakroczymskiej oraz pozycjach po-



„Powstaniec” nr 3 z 17 sierpnia 1944 r. z notatką o obchodach Święta Żołnierza w PWPW

wstańczych na ulicy Rybaki. Celem było rozpoznanie sił obrońców i przygotowanie gruntu pod generalny szturm.

Stan taki utrzymywał się do 18 sierpnia, kiedy Niemcy przystąpili do ostatecznej fazy działań przeciwko Staremu Miastu, polegającej na zaciskaniu pierścienia wokół okrążonych oddziałów powstańczych i atakowaniu najważniejszych punktów oporu.

Na odcinku PWPW odnotowywano stale rosnącą aktywność lotnictwa oraz wzrost natężenia ognia artylerii, moździerzy i granatników. 25 sierpnia siły niemieckie przełamały obronę na ulicy Rybaki i od wschodu stworzyły realne zagrożenie dla załogi powstańczej.

Tragiczny okazał się dzień 26 sierpnia. Najpierw zmasowane naloty lotnicze spowodowały ogromne zniszczenia i ciężkie straty wśród obrońców. Następnie przeciwnik przypuścił szturm siłą kompanii piechoty, wspieranej przez czołgi i samochody pancerne, wdzierając się do wnętrza kompleksu budynków PWPW. Nie mając wystarczających sił, Powstańcy musieli odstąpić.

Komunikat informacyjny nr 12 Dowództwa Grupy „Północ” z 29 sierpnia informował:

Ok. godz. 8-mej npl. wykonał uderzenie na budynki PWPW przy silnym wsparciu ognia art. i km. Po ciężkich walkach oddziały nasze opuściły rejon budynków PWPW.

Bohaterstwo obrońców

Przebieg walk o Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych pokazuje skalę wysiłku obu stron. Niemcy skierowali przeciw reducie znaczne siły i środki bojowe, wykorzystując lotnictwo, artylerię, moździerze, granatniki, czołgi, goliaty, samochody pancerne, pociąg pancerny oraz różne formacje wojskowe, policyjne i SS.

Mimo słabego uzbrojenia i świadomości skrajnie niekorzystnej sytuacji Powstańcy bronili swoich pozycji do końca. Tym większy szacunek i uznanie należą się obrońcom PWPW za odwagę, męstwo i poświęcenie.

dr Henryk Piskunowicz

dr Henryk Piskunowicz

– doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy Wojskowego Instytutu Historycznego, nauczyciel akademicki. Od ponad 50 lat zajmuje się problematyką badawczą nad Armią Krajową i Polskim Państwem Podziemnym. Szczególne zainteresowania koncentruje wokół walki zbrojnej, akcji „Burza” i konspiracji na kresach wschodnich. Autor i współautor kilku prac i opracowań oraz kilkudziesięciu artykułów.



Żołnierze Reduty

Gmach PWPW był w rękach Powstańców od 2 sierpnia do 28 sierpnia 1944 r. W ciągu 27 dni utrzymywania Wytwórni walczyło tu ponad 600 osób.

Wytwórnę zdobywały ugrupowania:

- PWB/17/S,
- batalion im. Czarnieckiego
- batalion „Wigry”
- pluton oddz. „P-20”
- oddział kompanii „Wkra” z batalionu „Łukasiński”
- drużyny NSZ z Brygady Zmotoryzowanej „Młot”

oraz żołnierze:

- kompanii „Orlęta”,
- 104. Kompanii Syndykalistów,
- Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa
- batalionu „Czwartacy”.

Poza PWB/17/S Wytwórni broniła od 10 sierpnia kompania ppor. Edmunda Osiejewskiego „Osy”. Od 21 sierpnia główny ciężar obrony przejęło zgrupowanie ppłk. Jana Szypowskiego „Leśnika”, mianowanego nowym komendantem obrony gmachu. Na ostatnią dobę dołączył pluton Henryka Gawlikowskiego „Sarmaka” z batalionu „Miotła”/„Czata 49”.

Ciche bohaterstwo zaplecza

Peżetki w powstańczej Reducie PWPW

W powstańczej Warszawie, pośród nieustającego ognia i ruin, peżetki należały do grona osób, bez których codzienne funkcjonowanie walczącego miasta byłoby niemożliwe. Te niezwykle, często wybitnie wykształcone kobiety, organizowały wyżywienie i zaopatrzenie, wspierały żołnierzy oraz ludność cywilną, a nierzadko same doświadczały tragicznych skutków wojny. Przypominamy mało znane losy peżetek, ze szczególnym uwzględnieniem dwóch z nich, które uczestniczyły w obronie Reduty PWPW.

Oazy spokoju wśród gruzów

Wydawałoby się, że o Powstaniu Warszawskim napisano już prawie wszystko. Tymczasem, choć w tym roku obchodzimy 82. rocznicę wybuchu Godziny „W”, nadal odnajdujemy niemal białe karty w historiografii tego wydarzenia.

Dla wielu osób nieznanym tematem pozostają wciąż losy peżetek – kobiet należących do służby Pomoc Żołnierzowi. Nie wszyscy wiedzą, kim były, czym się zajmowały i z jakim okresem naszych dziejów należy kojarzyć te dzielne kobiety. Dlaczego tak się stało? Może dlatego, że ich historia, na pierwszy rzut oka pozbawiona heroizmu i patosu, nie sprzyjała budowaniu legendy ani tworzeniu mitu. „Bo gdzież patos w mieszanin warząchwia w kotle zupy?” – jak napisała kiedyś z myślą o szarym, cichym bohaterstwie ludzi zaplecza jedna z uczestniczek Powstania Warszawskiego.



Emblemat przyszywany z przodu sukienki lub bluzy kobiet służących w PŻ

Dziś trudno nam sobie nawet wyobrazić, że wśród gruzów, pożarów i nieustannie zmieniającej się linii frontu peżetki stworzyły blisko 30 gospód żołnierskich PŻ (Pomocy Żołnierzowi), stanowiących, na miarę możliwości powstańczych, oazę spokoju i zapomnienia, oferujących walczą-

cym namiastkę utraconego domu. Miejsca te można byłoby obecnie porównać do dzisiejszych pubów. Przygotowywano i jedzono tam posiłki, organizowano koncerty, a nawet skromne przyjęcia weselne, odprawiano msze. Żołnierze przychodzili tu, by napić się zbożowej kawy, poczytać prasę, obejrzeć wystawę zdjęć zrobionych przez fotoreporterów Biura Informacji i Propagandy (BIP KG AK), a nawet wypożyczyć książkę. Bo w wielu placówkach znajdowały się biblioteki!

Już po wojnie zastępczyni komendantki PŻ, Hanna Wentlandtowa „Zofka”, w jednym z opracowań wymieniła trzy rodzaje gospód żołnierskich działających w powstańczej Warszawie: gospody niemal wzorcowe, realizujące większość zadań i funkcjonujące przez dłuższy czas, jak gospoda garnizonowa przy ul. Kruczej; placówki o zróżnicowanym pro-



Placówka w budynku warszawskiej siedziby YMCA przy ul. Konopnickiej 6 (Śródmieście Południowe)

filu, często przekształcające się w kuchnie polowe, jak m.in. w kinie „Palladium”, „Adrii” i Konserwatorium Muzycznym; oraz punkty działające zaledwie kilka dni, jak te zlokalizowane przy ulicach Okrąg, Śniadeckich, Fałata, Łowickiej, Oleandrów i Szerokiej.

Elita towarzyska w powstańczych kuchniach

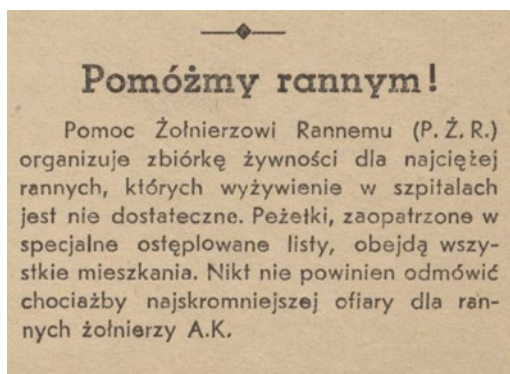
Gospody żołnierskie PŻ powstały przede wszystkim w Śródmieściu, na Powiślu, Mokotowie i Pradze. Punkty te najczęściej przypisane były do konkretnych oddziałów, takich jak np.: Zgrupowania „Kryśka” albo „Chrobry II”, Grupa „Krybar”, bataliony „Kiliński”, „Ruczaj” czy Kompania Sztabowa „Koszta”.

Do najważniejszych należały placówki: w PKO przy ul. Świętokrzyskiej róg Jasnej, w Poczcie Głównej przy pl. Napoleona, w Ubezpieczalni Społecznej przy

ul. Smulikowskiego 6/8 czy też tzw. gospoda garnizonowa przy ul. Kruczej róg Wspólnej. Na Starym Mieście takie punkty lub ich załączki najprawdopodobniej istniały w pierwszej połowie sierpnia w Hotelu Polskim przy ul. Długiej i w dawnej restauracji „Pod Krzywą Latarnią” przy ul. Podwale.

O tym, jak niezwykle okazywały się niejednokrotnie losy peżetek,

można przekonać się, poznając historię: pisarki Ireny Jurgielewiczowej, ps. Jurga; jednej z założycielek żeńskiego harcerstwa – Jadwigi Falkowskiej, ps. Jaga; aktorek: Marii Gorczyńskiej i Heleny Zelwerowicz-Orchoń, ps. Helena; mistrzyni Polski w biegach narciarskich – Bronisławy Staszek-Polanckowej, ps. Bronka; automobilistki i zwyciężczyni kilku samochod-



„Robotnik. Centralny organ PPS”, nr 52 (8021) z 15 września 1944 r.



Punkt w gmachu Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Smulikowskiego 6/8 (Powiśle)

wych Rajdów Pań – Haliny Regulskiej albo siostry słynnego fotografa i dokumentalisty Powstania Warszawskiego Eugeniusza Lokajskiego, czyli Zofii Domańskiej, ps. Zocha, która ocaliła dla kolejnych pokoleń bezcenną kolekcję jego zdjęć.

Spektakularne, choć praktycznie zupełnie nieznane, były także życiorysy kobiet stojących na czele organizacji Pomoc Żołnierzowi: komendantki – Hanny Łukasiewiczowej, ps. Ludwika, oraz jej zastępczyń: Marii Roerichowej, ps. Ina i Hanny Wentlandtowej, ps. Zofka czy też odpowiedzialnej za okręg warszawski PŻ – Dionizy Wyszynskiej, ps. Bronisława. Odnajdujemy wśród nich uczestniczki walk o odzyskanie niepodległości Polski, działaczki społeczne, oświatowe i sportowe, dziennikarki pism kobiecych i Polskiego Radia, wykładowczynie wyższych uczelni, nauczycielki i bibliote-

karki. Jedna z nich kandydowała nawet w wyborach do Sejmu w 1935 roku.

Peżetki należały do kobiet nieco starszych niż typowe przedstawicielki pokolenia Kolumbów. Najczęściej były w wieku 30–55 lat. To dlatego wiele z nich nosiło pseudonimy, takie jak „Mama”, „Ciocia”, „Babcia” czy „Szefowa”. Z reguły były świetnie wykształcone, wywodziły się z zamożnych domów, zaliczały się do elity towarzyskiej, jak np. Nadzieja Drucka, po mężu O’Brien de Lacy, ps. Literat – pisarka, tłumaczka, wiceprzewodnicząca Koła Ziemianek i Towarzystwa Dobroczynności, zaprzyjaźniona z Zofią Nałkowską i Witkacym, który namalował jej portret.

Kiedy zorganizowanie gospody żołnierskiej w danym rejonie okazywało się niemożliwe, peżetki pracowały najczęściej w kuchniach i stołówkach powstańczych, w szpitalach, pralniach, szwal-

niach albo zajmowały się dziećmi. Wykorzystywały również swoją wiedzę, by pomagać organizować różnorodne uroczystości czy też wydarzenia kulturalne.

Dramatyczne losy peżetek z Reduty PWPW

Dwie z peżetek pełniły również służbę w Reducie Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Walczyły tu wspólnie ze swoimi najbliższymi, co początkowo zapewniało im dodatkowe wsparcie psychiczne, ale potem – po śmierci mężów – stało się przyczyną dramatu i traumy. Niestety nie wiemy o losach obu kobiet zbyt dużo. Warto jednak przypomnieć krótkie biografie obu.

Helena Lech „Halina”

Helena Lech „Halina”, z domu Krzeszowska, pochodziła z Opotowa (województwo świętokrzyskie). W roku 1944 miała 38 lat. Należała



Helena Lech „Halina” / fot. z arch. Marii Lech-Czerny/



Irena Niklewicz „Kiera” / źródło: <https://www.1944.pl/>

do kobiet dobrze wykształconych jak na ówczesne czasy – była absolwentką Gimnazjum Żeńskiego im. Zygmunta Choromańskiego w Ciechanowie. Podczas Powstania Warszawskiego pełniła wraz z mężem służbę w Reducie PWPW [wywiad z ich córką można przeczytać na poprzednich stronach – przyp. red.]. Po upadku Starego Miasta wyszła z dzielnicy wraz z ludnością cywilną.

Podczas zrywu stolicy kobieta straciła męża i brata. Ten pierwszy – por. Czesław Lech „Biały”, pochodził z miejscowości Turza Mała, leżącej w powiecie mławskim. Podobnie jak żona należał do osób dobrze wykształconych. Ukończył Gimnazjum im. Stanisława Wyspiańskiego w Mławie, a następnie Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej oraz Szkołę Podchorążych Artylerii w Toruniu.

Podczas okupacji zaangażowany był w działalność konspiracyjną, należąc do tzw. Podziemnej Wytwórni Banknotów noszącej kryptonim PWB/17. 2 sierpnia 1944 r. uczestniczył w zdobywaniu gmachu PWPW, dowodząc jedną z grup Powstańców. Przez kolejne dni uczestniczył w organizowaniu Reduty i jej obronie przed zmasowa-

nymi atakami wojsk niemieckich. Poległ 28 sierpnia 1944 r. podczas osłaniania odwrotu obrońców Reduty. Miał wówczas 40 lat. Po wojnie został ekshumowany i pochowany na Cmentarzu Komunalnym (Wojskowym) w Warszawie [wywiad z Marią Lech-Czerny, córką Heleny i Czesława Lechów prezentujemy na s. 27 – przyp. red.].

W Powstaniu Warszawskim walczył i zginął także brat Heleny – Wacław Józef Krzeszowski „Gryf”. Był żołnierzem 1. Dywizjonu Artylerii Konnej im. Józefa Bema. Walczył na skraju Sadyby i Czerniakowa. Został ciężko ranny 22 sierpnia 1944 r. odłamkiem pocisku artyleryjskiego. Zmarł w kilka godzin po przewiezieniu do szpitala położego przy ul. Chełmskiej 19. Pochowano go na terenie szpitala. W kwietniu 1945 r. został ekshumowany i pochowany przez rodzinę na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Dziś Helena, Czesław i Wacław spoczywają tam we wspólnym, rodzinnym grobie.

Już po wojnie Helena Lech za pomoc przedstawicielom społeczności żydowskiej podczas okupacji została uhonorowana Medalem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.

Irena Niklewicz „Kiera”

Do grona peżetek należała także Irena Niklewicz „Kiera”, z domu Romiszewska, *primo voto* Makarewicz. Pochodziła z Podola – urodziła się w Nowej Uszycy. W roku 1944 miała 32 lata.

Podczas okupacji uczestniczyła w działalności konspiracyjnej, należąc do 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. W lipcu 1944 r. znajdowała się już w Warszawie. To wówczas wyszła za mąż za sierż. pchor. Leszka Niklewicza „Roberto”, żołnierza pochodzącego także z Kresów Wschodnich II RP – z Łucka.

Oboje należeli do Zgrupowania „Leśnik”. Ona pełniła służbę w kwatermistrzostwie, on – w kompanii miotaczy płomieni. Wspólnie uczestniczyli w walkach o utrzymanie w polskich rękach Reduty PWPW. Leszek poległ w akcji 25 sierpnia 1944 r. Tego samego dnia ciężko ranna została Irena. Przeniesiono ją do Centralnego Szpitala Chirurgicznego nr 1 przy ul. Długiej 7. Tu, 2 września 1944 r., po opanowaniu Starego Miasta przez oddziały niemieckie i kolaborujące z nimi oddziały wschodnie, kobieta została zamordowana, tak jak prawie wszyscy pacjenci i personel medyczny punktu.

Święto Wojska Polskiego pod gradem pocisków

Przeglądając relacje pozostawione przez obrońców Reduty PWPW i mieszkającą w budynkach gmachu ludność cywilną, można się domyślić, że peżetki pracowały tu przede wszystkim w powstańczej kuchni i stołówce. Prawdopodobnie pomagały też organizować różnego rodzaju uroczystości, takie jak obchody Dnia Żołnierza Polskiego połączone z celebrowaniem święta kościelnego – Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny (Matki Boskiej Zielnej) oraz rocznicy Cudu nad Wisłą (1920 r.) – przypadającego 15 sierpnia 1944 r.

Tego dnia w całej stolicy organizowano różnorodne uroczystości kościelne, artystyczne, wojskowe, towarzyskie, co ze względu na walki prowadzone w mieście uznać należy za jeden z fenomenów powstańczej Warszawy i rzecz absolutnie niezwykłą.

W Reducie PWPW 15 sierpnia 1944 r. odprawiono uroczyste nabożeństwo. Stawili się na nim Powstańcy i ludność cywilna. Podczas mszy odbył się również ślub powstańczy, nawiązano

do uroczystych obchodów święta Matki Boskiej Zielnej, a w kazaniu kapelan odniósł się do rocznicy Cudu nad Wisłą. W tym ostatnim wydarzeniu widział analogię do bieżących zdarzeń, co uważał za zapowiedź rychłego zwycięstwa toczzonej przez Polaków walki. Odprawiający mszę ksiądz Stefan Leitholz był zresztą sam uczestnikiem bitwy rozgrywającej się w 1920 roku u bram Warszawy.

Duże wrażenie na wszystkich obecnych zrobiło wtedy wspólne odśpiewanie pieśni *Boże, coś Polskę*. Pod koniec nabożeństwa w budynek uderzyły pociski tzw. ryczącej krowy, w wyniku czego w pomieszczeniu zapanowała tak wielka panika, że ludzie niemal się stratowali. Wiele osób zostało rannych.

Po uroczystości miał miejsce chrzest zdobytego karabinu maszynowego, który otrzymał imię „Osa”. Wydarzenie to zamieniło się w spotkanie towarzyskie, któremu towarzyszyła duża ilość wina oraz wspólne śpiewy trwające do późnej nocy.

Agnieszka Cubała

Źródła:

1. Agnieszka Cubała, *Skazani na zagładę? 15 sierpnia 1944. Sen o wolności a dramatyczne realia*, Bellona, Warszawa 2016.
2. Agnieszka Cubała, *Młodzi '44. Powstanie Warszawskie emocjami opisane*, Agnieszka Cubała Moje Książki, Warszawa 2026.
3. Agnieszka Cubała, *Peżetki '44. Powstańcze historie kobiet ze służby Pomoc Żołnierzowi*, Agnieszka Cubała Moje Książki, Warszawa 2025.
4. Juliusz Kulesza, *Reduta PWPW*, PAX, Warszawa 1989.
5. Juliusz Kulesza, *Sen o Rybakach*. PWPW S.A, Warszawa 2015.
6. Juliusz Kulesza, *Sierpień przez całe życie*, ANTA, Warszawa 1994.
7. Juliusz Kulesza, *„Tasiemką” na czołgi. Wspomnienia z walk na Starym Mieście w sierpniu 1944 roku*, Czytelnik, Warszawa 1979.
8. Juliusz Kulesza, *Zapamiętane*, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, Warszawa 2020.
9. Romuald Śreniawa-Szypioński (red.), *Powstanie Warszawskie 1 sierpnia – 2 października 1944. Służby w walce*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994.

Agnieszka Cubała

– pasjonatka historii Powstania Warszawskiego, autorka kilkunastu cenionych książek poświęconych historii i życiu codziennemu powstańczej Warszawy (m.in. *Miłość '44*, *Kobiety '44*, *Artyści '44*). Opracowała hasła autorskie do *Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego* oraz konsultowała dwa rozdziały polskiego wydania książki *Powstanie '44* Normana Daviesa. Współpracowała również z Muzeum Powstania Warszawskiego przy tworzeniu ekspozycji stałej. Za popularyzację tematyki powstańczej została dwukrotnie wyróżniona nagrodą Klio, odznaką „Zasłużony dla Warszawy” oraz srebrnym Krzyżem Zasługi.



Opowieść o „Litwinie”

Pamiętki i historie Reduty PWPW

Czasem pojedynczy dokument lub niewielka pamiątka pozwala ocalić od zapomnienia człowieka i wydarzenia, których próżno szukać w najważniejszych opracowaniach historycznych. Tak jest w przypadku sierżanta „Litwina” oraz kilku innych śladów związanych z walkami o PWPW w sierpniu 1944 roku.

Pamiętki po „Litwinie”

Od wielu lat zbieram pamiątki związane z Powstaniem Warszawskim i mam kilka związanych właśnie z PWPW, które tu prezentuję. Są to pamiątki po „Litwinie” – Kazimierzu Girulskim.

Niestety nie udało mi się zdobyć o nim wielu informacji. W dostępnej literaturze i na stronie Muzeum Powstania Warszawskiego albo nie figuruje, albo podane dane są bardzo skąpe, a czasem błędne. Posiadane pamiątki kupiłem kilkanaście lat temu na bazarze.

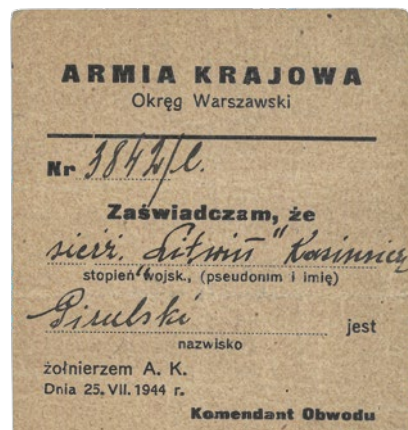
Szlak bojowy

Kazimierz Girulski, syn Antoniego, urodził się 27 marca 1905 r. w Wilnie. Podczas okupacji służył w batalionie „Kiliński”, w 4. kompanii „Watra”, w plutonie 170 – jako dowódca drużyny w stopniu sierżanta. Przed Powstaniem mieszkał przy ul. Karolkowej 80 m. 12 wraz z żoną Julianną, sanitariuszką „Nuną” (1904–1983), również z 4. kompanii.

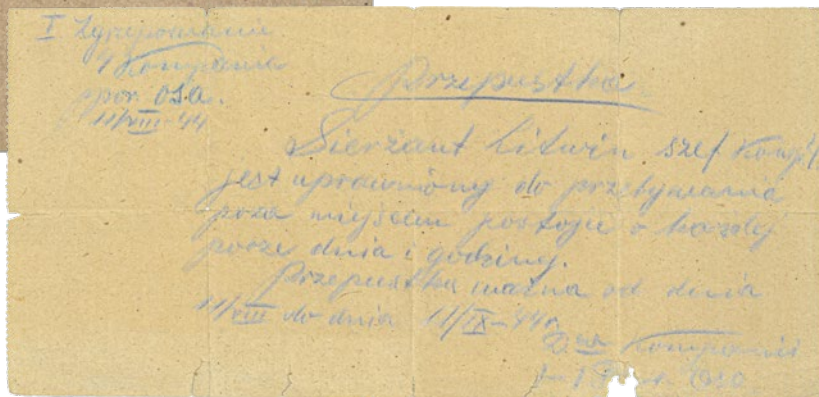
Swoją powstańczy szlak bojowy rozpoczął na Woli, walcząc w rejonie cmentarza kalwińskiego. Po ciężkich walkach więk-



Kazimierz Girulski „Litwin”



Wyżej i obok: legitymacje AK „Litwina”



Przepustka z 11 sierpnia 1944 r. uprawniająca do pobytu poza miejscem postoju

sza część 4. kompanii pod dowództwem podporucznika „Osy” (Edmunda Osiejewskiego) przeszła na Stare Miasto, gdzie około 10 sierpnia została skierowana do PWPW. Z tego okresu pochodzi prezentowana przepustka „Litwina”, z której wynika, że pełnił funkcję szefa kompanii.

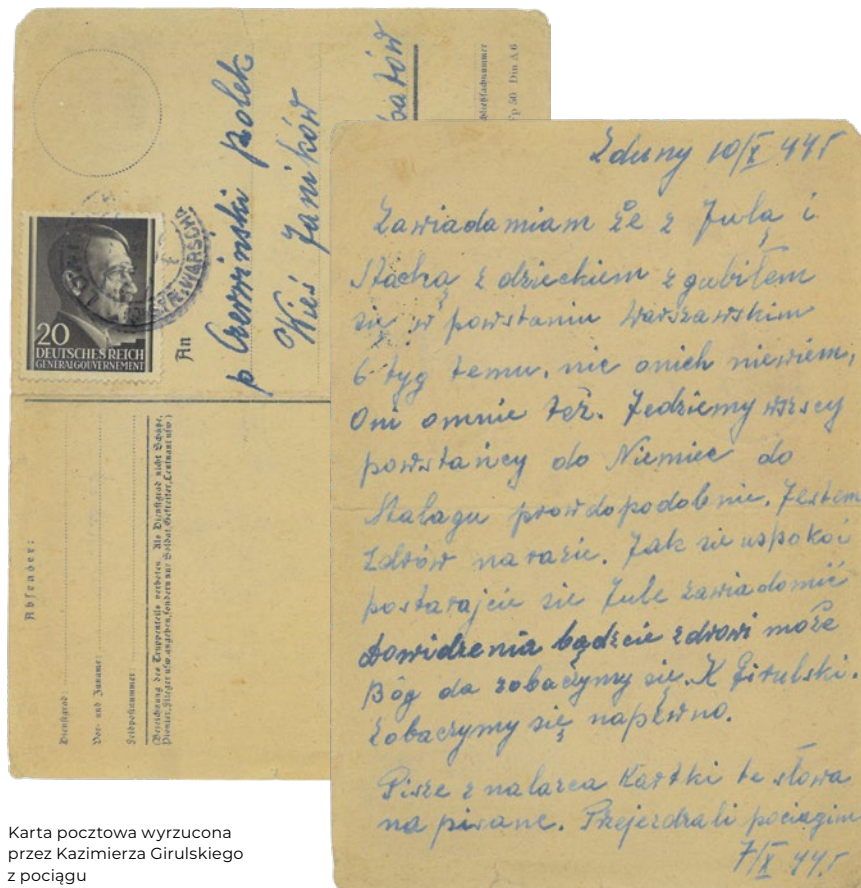
W PWPW walczył do 26 sierpnia, kiedy kompania została wycofana z wytwórni. Następnie prowadziła działania w jej okolicach, osłaniając m.in. ewakuację oddziałów staromiejskich kanałami. Razem ze swoim oddziałem „Litwin” przeszedł kanałami do Śródmieścia. Walczył dalej w rejonie Śródmieścia Północnego i na Powiślu – aż do kapitulacji.

Za swoje zasługi został odznaczony Krzyżem Walecznych oraz mianowany starszym sierżantem, co potwierdzają zachowane dokumenty. Po kapitulacji trafił do niewoli – do Stalagu X B Sandbostel (numer jeniecki 222659). Z tego okresu pochodzi również prezentowana karta pocztowa. Po wojnie wrócił do kraju. Zmarł 24 lipca 1948 r. w Warszawie.

„Obłoczek” – młody żołnierz

Wśród pamiątek znajduje się także rysunek Powstańca datowany na 15 sierpnia 1944 r. – wykonany w czasie pobytu „Litwina” w PWPW. Podpisany jest pseudonimem „Obłoczek”.

„Obłoczek” to Leszek Olkowski, urodzony 12 września 1931 r. w Warszawie, syn Stanisława Olkowskiego i Stanisławy Olkowskiej, z domu Cholewskiej. Podobnie jak „Litwin” był żołnierzem – strzelcem i łącznikiem – w 4. kompanii „Watra” batalionu „Kiliński”. Jego ojciec, ps. „Obłok”, również służył w tym oddziale. Razem z kompanią przeszedł cały jej szlak bojowy: Wola – Stare Miasto – PWPW – kanały – Śródmieście Północne – Górny



Karta pocztowa wyrzucona przez Kazimierza Girulskiego z pociągu

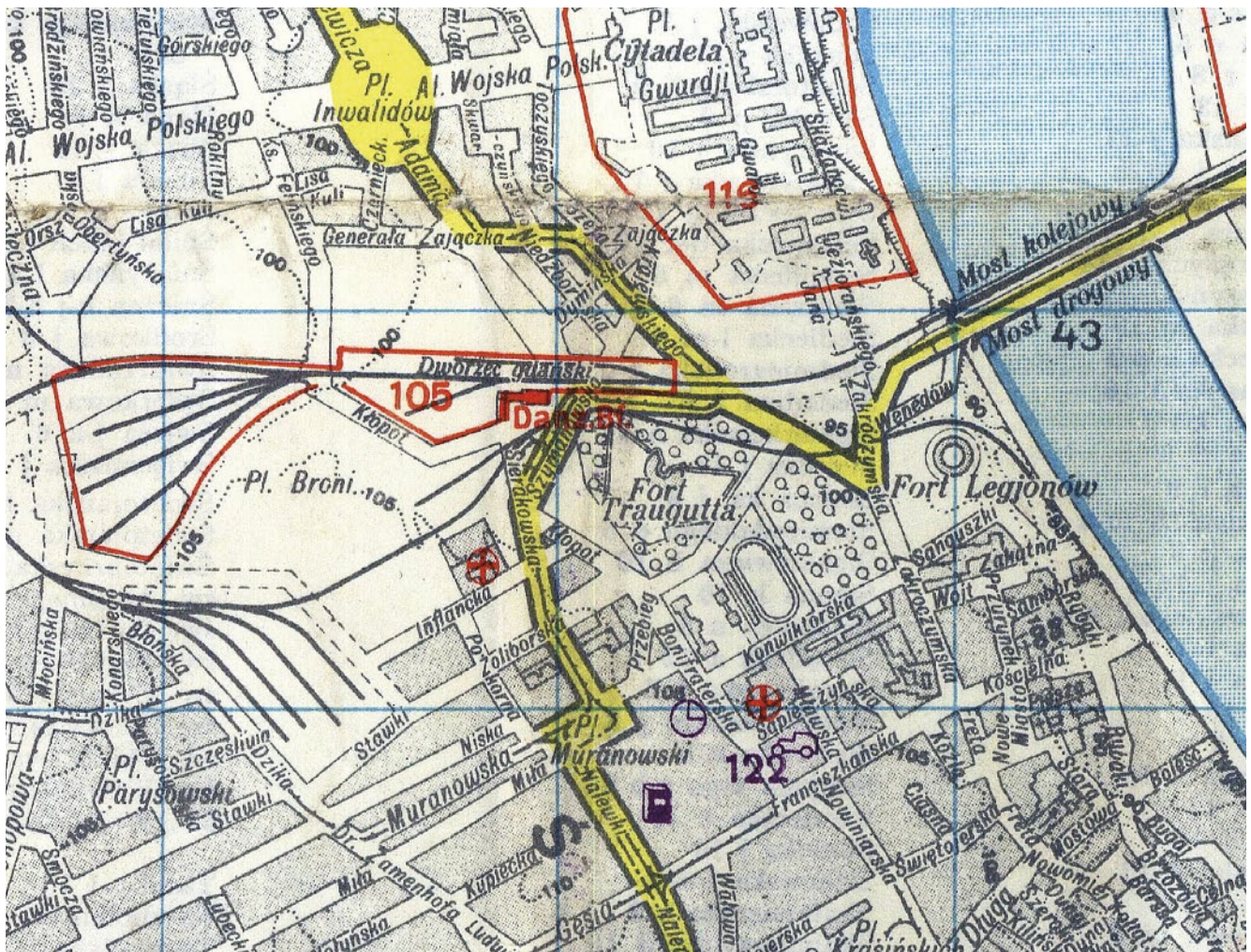


Rysunek Powstańca wykonany przez „Obłoczka” 15 sierpnia 1944 r.

Między Redutą a Dworcem Gdańskim

Ludzie, miejsca i dramat Powstania Warszawskiego

To opowieść o miejscach, które mijamy każdego dnia, nie zawsze pamiętając, że w sierpniu 1944 roku stały się areną walk, bohaterstwa i ludzkich tragedii. W okolicach PWPW, Reduty Banku Polskiego, klasztoru franciszkanów i Dworca Gdańskiego rozgrywały się wydarzenia, które na zawsze zapisały się w historii Warszawy oraz zmieniły losy jej mieszkańców.



Plan wojskowy rejonu Nowego Miasta, Dworca Gdańskiego i Cytadeli, Stadplan Warschau, 1:20 000, wyd. Mil. Geo. ok. lipca 1939 r.

/Źródło: Archiwum Map Wojskowego Instytutu Geograficznego 1919–1939, <http://polski.mapywig.org/>

Zdobycie PWPW

Zacznijmy od najbliższego sąsiedztwa Starówki. Tuż przed Powstaniem gmach Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych został wzmocniony dodatkową grupą żandarmów wyposażonych w ciężką broń maszynową. Ich silny ogień nie pozwolił na zajęcie PWPW pierwszego dnia walk.

Wytwórnę zdobyto następnego dnia podczas jednoczesnego ataku z zewnątrz, między innymi oddziałów „Gozdawy” i Kompanii Syndykalistów, oraz od środka, gdzie grupa AK PWB/17/S zaskoczyła Niemców.

Oprócz oddziałów powstańczych nacierających z zewnątrz w ataku uczestniczyli również okoliczni mieszkańcy, uzbrojeni w łomy i kilofy. Pan Wielgus z ulicy Zakątnej przybiegł po sąsiedzku z drabiną, bez której cała akcja mogłaby się nie powieść.

Zdobycie Wytwórni oznaczało także przejście znacznych zapasów amunicji i żywności zgromadzonych przez Niemców przed wybuchem Powstania.

PWPW stała się jednym z najważniejszych bastionów północnego odcinka Starówki. Przez blisko miesiąc jej załoga miała odpierać kolejne niemieckie ataki.

Powstańcza twierdza

Już w pierwszym tygodniu walk Niemcy ustawili na Pradze, na przeciwko Starego i Nowego Miasta, działa kalibru 105 mm, które systematycznie dewastowały Starówkę.

Juliusz Kulesza wspominał jako wielką „atrakcję” niewypał ogromnej bomby, która wryła się w przekop przy ulicy Wójtowskiej, mniej więcej na wysokości obecnego wejścia do firmy.

Wybuchom towarzyszyły pożary. Strażacy z fabrycznej straży PWPW często gasili je pod ostrzałem. Aby zamortyzować uderzenia odprysków gruzu i drobnych odłamków, do akcji zakładali grube wojskowe kożuchy.

Wytwórnia była jednak czymś więcej niż tylko punktem oporu. W jej podziemiach działały szpitale, schronienia dla ludności cywilnej i punkty pomocy dla rannych. Życie toczyło się tam w cięniu nieustannych bombardowań.

Franciszkanie i zaplecze walczącej Starówki

Jednym z miejsc, które wspierały obrońców Starówki, był klasztor franciszkanów przy kościele św. Antoniego. Wybuch Powstania zaskoczył tam wielu wiernych uczestniczących w uroczystościach związanych z odpustem Matki Bożej Anielskiej. Wielu nie mogło już wrócić do swoich domów. Odpust zamienił się w szkołę przetrwania.

Zakonnicy przygotowali kilkadziesiąt miejsc w klasztorze i pobliskim domu starców. Pod kierownictwem ojca Rocha uruchomiono punkt medyczny. Klasztor stał się naturalnym zapleczem dla głównych bastionów Starówki.

Franciszkanie zaczęli przygotowywać zbiorowe posiłki. Przez cały okres Powstania codziennie żywiło się tam około pięciuset osób. Posiłki przygotowywano pod osłoną nocy, a cały klasztor był narażony na wielotygodniowe bombardowania.

W tym strasznym czasie zakonnicy pełnili również posługę duszpasterską. Odprawiali msze święte między innymi w podziemiach PWPW.

Tak wyglądało zaplecze walczącego miasta. Oprócz żołnierzy byli tam lekarze, sanitariuszki, strażacy, zakonnicy i setki cywilów wykonujących pracę, bez której obrona Starówki nie mogłaby trwać tak długo.

Walki o rejon Inflanckiej i Sierakowskiej

W tym czasie walki trwały w całej okolicy, między innymi na terenie nieistniejącej już dziś zajezdni przy ulicy Inflanckiej. Po wojnie była to jedna z najważniejszych

zajezdni w Warszawie, a podczas Powstania stanowiła ważny punkt oporu.

Obok, przy nieistniejącej dziś ulicy Sierakowskiej, mieściła się zajezdnia tramwajowa, na co dzień zwana „remizą”. To właśnie tam walczył ppłk Jan Szypowski „Leśnik”, późniejszy komendant obrony PWPW.

Nazwisko „Leśnika” pojawi się jeszcze w tej opowieści. Był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci północnego odcinka Powstania, a jeden z epizodów z jego udziałem przeszedł do powstańczej legendy.

„Goliat” kontra „Leśnik”

14 sierpnia, po wyparciu Powstańców z hali autobusowej, na ulicę Sierakowską wkroczyły czołgi eskortujące „Goliata”. Był to swego rodzaju ówczesny dron: niewielki pojazd przewożący duży ładunek wybuchowy, sterowany za pomocą kabla.

W warunkach walk ulicznych była to niezwykle groźna broń. Jan Szypowski „Leśnik” uratował sytuację, osobiście przecinając przewód sterujący. Barykada została uratowana, pojazd rozbrojony, a potężny ładunek wybuchowy wykorzystano później do produkcji granatów.

Aby zdobyte doświadczenie nie poszło na marne, ppłk „Leśnik” opracował instrukcję przeciwdziałania „Goliatom”. Jedną z takich instrukcji znajduje się dziś w Muzeum Wojska Polskiego. To jeden z tych epizodów Powstania, które brzmią niemal nieprawdopodobnie. Trudno dziś wyobrazić sobie dowódcę, który własnoręcznie zatrzymuje pojazd wiozący kilkadziesiąt kilogramów materiału wybuchowego.

Ucieczka „Szarego”

Tego samego dnia rozegrała się jeszcze jedna niezwykła historia.

Po opanowaniu hali przez nieprzyjaciela od swoich został odcięty ppor. „Szary” (Marian Gorzkow-



Dworzec Gdański ok. roku 1940 / źródło: <https://pl.wikipedia.org/>

ski). Część dnia przeczekał w ukryciu. Wieczorem, kiedy zorientował się, że Niemcy przygotowują kolejny atak, schował opaskę powstańczą. Ponieważ miał na sobie niemiecki mundur, wmieszał się w szyk atakujących i desperackim sprintem przedostał się do własnych oddziałów. Po drodze został jeszcze ostrzelany na przywitanie przez kolegów. Na szczęście niecelnie.

Później walczył w Śródmieściu. Po wojnie mieszkał w Nowej Zelandii. Zmarł w Warszawie w 1992 roku podczas jednej z kolejnych wizyt.

Takich historii było w Powstaniu setki. Niektóre trwały kilka minut, a później pozostawały w pamięci uczestników przez całe życie.

Dworzec Gdański – strategiczny cel Powstania

Kilkaset metrów dalej znajdowało się miejsce, od którego zależały dalsze losy północnego odcinka Powstania.

Dworzec Gdański to dziś ważny punkt przesiadkowy, z którego korzystają tysiące Warszawiaków. W czasie wojny był jednym z kluczowych węzłów komunikacyjnych miasta. Tędy trafiało zaopatrzenie, tędy ruszały transporty wojskowe. W 1942 roku przez ten rejon przechodziły również tragiczne transporty ludności żydowskiej wywożonej do Treblinki.

W sierpniu 1944 roku miejsce to miało znaczenie strategiczne.

Niemcy kontrolowali pas od Powązek do Wisły. Jego osią była linia kolejowa, po której kursował pociąg pancerny. Wzdłuż torów rozstawiono bunkry, stanowiska broni maszynowej i zasieki. Od początku Powstania dowództwu zależało na stworzeniu korytarza łączącego Stare Miasto z Żoliborzem. Kolejne próby nie przynosiły jednak powodzenia.

Pierwsze strzały na Żoliborzu

Problemy zaczęły się już 1 sierpnia. Pierwsze strzały Powstania padły właśnie na Żoliborzu. Oddział pchor. „Świdry” przenosił broń z magazynów „Żywiciela” do warsztatów kotłowni przy ulicy Suzina. Zauważył ich przejeżdżający patrol żandarmerii. Wywiązała się strzelanina, po której Niemcy natychmiast obsadzili tory kolejowe i wiadukt przy Dworcu Gdańskim.

W ten sposób Żoliborz został odcięty od Śródmieścia. Wielu dowódców i żołnierzy nie mogło dotrzeć do swoich oddziałów, a część pododdziałów została odcięta od magazynów broni i amunicji.

Strzały padły około godziny 13.30–13.50, a więc na kilka godzin przed Godziną „W”. Mobilizacja została poważnie utrudniona, a skutki tego przypadku dawały o sobie znać jeszcze przez wiele kolejnych tygodni walk.

Kampinos rusza na pomoc Warszawie

Nadzieję na przełamanie niemieckiej obrony wiązano z oddziałami z Puszczy Kampinoskiej. Wśród nich znajdowali się doświadczeni żołnierze kresowi, którzy po długim i trudnym marszu znaleźli się pod Warszawą. Droga do udziału w walkach o stolicę nie była wolna od problemów organizacyjnych i sporów kompetencyjnych, jednak ostatecznie oddziały dotarły na Żoliborz. Tam sztab „Żywiciela” opracował plan natarcia na Dworzec Gdański.

Cel był jasny. Należało przełamać niemieckie pozycje, połączyć Żoliborz ze Starówką i stworzyć korytarz komunikacyjny między walczącymi częściami miasta. Od powodzenia tej operacji mogły zależeć dalsze losy obrony Starego Miasta.

Pierwsze natarcie

Plan był prosty. Należało przebiec około 300 metrów przez ogródki działkowe, dostać się na skarpę przed torowiskiem, a następnie zaatakować niemieckie pozycje przy wsparciu oddziałów ze Starówki.

Natarcie rozpoczęło się około pierwszej w nocy. Szybko okazało się jednak, że Niemcy są przygotowani lepiej, niż przypuszczano. Teren rozświetliły rakietami, ruszył gwałtowny ostrzał artyleryjski i z broni maszynowej.

Poszczególne kompanie traciły ze sobą kontakt. Rozkazy przestały docierać do walczących. Chaos narastał z każdą minutą. Ostatecznie podjęto decyzję o przerwaniu ataku.

Por. Edward Bonarowski „Ostomir”, z którego wspomnień korzystałem, pisał później, że żołnierze nie znali swoich dowódców, a dowódcy nie znali żołnierzy. Według niego zabrakło zgrania i zdecydowania.

Nie oznaczało to jednak rezygnacji. Stawka była zbyt wysoka.



Okolice opisywanych wydarzeń na niemieckim zdjęciu lotniczym z 27 lipca 1944 r.: w lewej górnej części kadru Dworzec Gdański, w prawej na dole: kompleks gmachów PWPW /źródło: Muzeum Powstania Warszawskiego – Korzenie Miasta <https://zdjecia.korzeniemiasta.pl/>

Drugie natarcie

Dwa dni później zdecydowano się na kolejną próbę.

Tym razem natarcie miało być wsparte również przez oddziały ze Starówki. Wszyscy mieli świadomość, że powodzenie tej operacji może zadecydować o dalszych losach obrony Starego Miasta. Nieprzyjaciel zachował jednak czujność. Teren był regularnie oświetlany i ostrzeliwany. Wszystko wskazywało na to, że Niemcy spodziewają się kolejnego ataku.

Natarcie miało odbyć się niemal w tym samym miejscu co poprzednio, w okolicach dzisiejszej ulicy generała Żajączka. Kompanie „Prawdźica” i „Jaskulskiego” poderwały się do ataku. Wtedy nocne niebo rozświetliły rakietami i flary. W ich świetle nadjechał pociąg pancerny. Siła ognia, z jaką przyszło zmierzyć się Powstańcom, jest trudna do opisanego.

Walka trwała ponad dwie godziny, a Powstańcy robili wszystko, by wykonać postawione przed

nimi zadania. Przy użyciu zrzuconych granatników przeciwpancernych usiłowali uszkodzić skład.

W walce wyróżnili się między innymi st. strz. „Jocker” (Stanisław Pichula, późniejszy wiceprezes Banku PKO) oraz Holender Finedał, dezertor z armii niemieckiej. Po pewnym czasie zaczęły napływać meldunki o zaciętej i zapiaszczonej broni. Powstało pytanie: co dalej? Jak walczyć z pociągiem pancernym albo artylerią Cytadeli?

Ze wspomnień por. „Ostomira” szczególnie zapadło mi w pamięć jego podsumowanie tej batalii: „Przedwczoraj na terenie ogródków łatwiej było przeskoczyć ostrzeliwany przez artylerię pas i iść dalej ku torom, niż dziś iść przez tory pod ogniem z pociągu pancernego i gniazd broni maszynowej. Przedwczoraj przesadna ostrożność, dziś bezmyślna determinacja...”. Te słowa dobrze oddają atmosferę tamtej nocy.



Cena szturmu

Ogromne straty poniesione przez sanitariuszki podczas pierwszego natarcia przełożyły się na brak wystarczającej opieki medycznej dla rannych. Wielu z nich pozostało na polu walki. Część ciężko rannych została za dnia dobita niemieckim ogniem. Łączne straty obu natarć sięgnęły około pięciuset ludzi.

Nie udało się przełamać niemieckiej obrony. Nie udało się połączyć Żoliborza ze Starówką. Dla walczącej Warszawy był to jeden z najbardziej bolesnych momentów całego Powstania.

Tragedia na boisku Polonii

Wydarzenia na stadionie Polonii stały się jednym z najbardziej ponurych symboli walk o Warszawę. Na boisko przy Konwiktorskiej wjechały niemieckie czołgi, a miejsce sportowej rywalizacji zamieniło się w miejsce kaźni. W murawę zostały dosłownie

wgniecione ciała jedenastu Powstańców. Pamięć o tym wydarzeniu pozostaje żywa wśród kibiców Polonii do dziś.

Jednym z rannych żołnierzy był Eugeniusz Boguszewski „Malarz”. Postrzelony w klatkę piersiową i lewą rękę odzyskał przytomność w chwili, kiedy po boisku jeździły już czołgi. Przeczuwając śmierć, przygotował odbezpieczony granat, który trzymał w zdrowej dłoni. W krytycznej chwili chciał przynajmniej uszkodzić gąsienicę jednego z pojazdów. Maszyny, które miażdżyły jego kolegów, ominęły jednak „Malarza”.

Do zmroku kurczowo ścisnął granat. Kiedy brakowało mu sił, dociskał go do brzucha, by nie dopuścić do wybuchu. Po zapadnięciu zmroku postanowił wrócić do swoich. Czołgając się z granatem w dłoni, dotarł do patrolu sanitarnego przy ulicy Konwiktorskiej. Mimo gorączki i skrajnego wyczerpania zdążył

jeszcze uprzedzić sanitariuszki, że „nie przychodzi z pustymi rękami”.

To jedna z tych historii, które pokazują, jak cienka była granica między życiem a śmiercią i jak wiele zależało od przypadku.

Punkt zwrotny Powstania

Walki o Dworzec Gdański zamykają pewien etap Powstania.

Nie udało się połączyć Starówki z Żoliborzem, a to znacząco wpłynęło na dalszy przebieg walk i obronę Starego Miasta. Porażka odcisnęła piętno zarówno na żołnierzach, jak i ludności cywilnej.

Zdaniem wielu historyków właśnie od tego momentu Powstanie zaczęło przechodzić do defensywy. Powstańcy byli wypierani z kolejnych dzielnic i bronili coraz mniejszych fragmentów miasta. Dla mieszkańców Warszawy oznaczało to kolejne tygodnie bombardowań, pożarów, głodu i niepewności.

Warszawa pozostaje sama

Przez cały okres Powstania alianckie loty zaopatrzeniowe były mocno ograniczone. Radzieckie lotnictwo, które tak ochoczo bombardowało Warszawę w latach 1942–1943 nie zostało wysłane na pomoc. Kilka lotów mogłoby zniszczyć stanowiska ciężkiej artylerii czy choćby tory, po których bezkarnie przemierzał się pociąg pancerny. Byłoby to łatwe, zwłaszcza że rosyjskie eskadry stacjonowały wówczas w Dęblinie.

Warszawa pozostawała coraz bardziej osamotniona. Dla miasta i jego mieszkańców nadchodził czas niewyobrażalnego cierpienia.

Gigantyczne straty poniesione przez Warszawę to temat na osobną opowieść. Nigdy nie udało się dokładnie policzyć wszystkich ofiar. Skala zniszczeń i rabunków do dziś wpływa na kształt miasta, w którym żyjemy. Za liczbami, raportami i wojskowymi meldunkami kryły się jednak przede wszystkim indywidualne losy ludzi.

Jednym z nich był Edward Bonarowski „Ostromir”, którego wspomnienia towarzyszyły tej opowieści od samego początku.

Historia „Ostromira”

Edward Bonarowski „Ostromir” pochodził z okolic Łomży. Studiował prawo w Wilnie. Jego przyszła żona, Halina Ładzianka, studiowała na warszawskim AWF. Początek okupacji spędzili w Ostrowi Mazowieckiej. Tam Halina została aresztowana przez gestapo i wywieziona do Auschwitz. „Ostromir” przez cały okres okupacji działał w konspiracji.

W czasie Powstania został ranny w rękę podczas obrony „Poniatówki”, gdzie walczył do końca razem z żołnierzami kresowego Zgrupowania Stołpeckiego, którzy często powtarzali: „My poddawać się nie przywykliśmy...”.

Po upadku Powstania trafił do Pruszkowa. Udało mu się jednak uciec z transportu. Wszystko to z ropiejącą ręką, którą cudem uratowano przed amputacją. Kiedy usłyszał o wyzwoleniu Auschwitz, ruszył na poszukiwanie żony.

Był to czas, gdy Europa wciąż leżała w gruzach, a wiadomości o losach najbliższych docierały powoli lub nie docierały wcale. Mimo to postanowił szukać. Podróż wymagała sześciu przesiadek pomiędzy pociągami osobowymi i towarowymi. Część drogi pokonał na buforze wagonu, trzymając się jedną zdrową ręką. Dotarł do Auschwitz krótko po wyzwoleniu obozu. Nie

znalazł tam jednak Haliny. Dowiedział się jedynie, że wcześniej została przewieziona do Ravensbrück.

Dla człowieka, który przeżył okupację, Powstanie, rany i obóz przejściowy, był to kolejny cios. Na szczęście historia nie zakończyła się tragedią. Pod koniec maja Halina wróciła.

Po latach wojny, rozłąki i niepewności mogli wreszcie zająć się sobą i rodziną. Doczekali się czworga dzieci. Zamiast walczyć o przetrwanie, zaczęli budować zwyczajne życie.

I może właśnie w tym kryje się najważniejsza lekcja tej historii. Między Redutą PWPW a Dworcem Gdańskim rozgrywały się dramaty, o których przypominają dziś tablice, pomniki i wspomnienia uczestników. Łatwo patrzeć na nie wyłącznie przez pryzmat bitew, barykad i wojskowych meldunków. Tymczasem za każdym z tych miejsc stali konkretni ludzie. Ludzie tacy jak „Ostromir” i Halina.

Pośród ruin miasta, pośród śmierci, bólu i rozłąki, znaleźli w sobie siłę, by zacząć od nowa. To dzięki nim Warszawa nie była tylko miastem, które przeżyło katastrofę. Była także miastem, które potrafiło się podnieść.

Grzegorz Ferenc

Grzegorz Ferenc

– warszawski przewodnik miejski i pasjonat historii. Wielbiciel ciężkiego brzmienia, ale wciąż otwarty na inne gatunki muzyczne. Związany z Wytwornią od 10 lat. Był lektorem czytającym ostatnią książkę Juliusza Kuleszy *Spotkania* podczas uroczystych obchodów 81. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego w Wytwórni. Pracuje w Dziale Gospodarczym w Biurze Inwestycji i Administracji PWPW S.A.





„Życie Wytwórni”

Czasopismo
Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych S.A.
ukazuje się od 1951 r.

Wydanie z okazji 82. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego
Redaktor prowadzący: Tomasz Turek / tel. 235 33 57; kom. 727 042 406/.

Współpraca redakcyjna: Michał Przyborowski

Okolicznościowa winieta na podstawie kaligrafii Zygmunta Niecieckiego „Sigisa”
Powstańca Warszawskiego w grupie PWB/17/S,
wieloletniego pracownika PWPW i redaktora „Życia Wytwórni”.

Specjalny raster z motywami powstańczymi: Krystian Michalczuk
II i III strona okładki: portrety „Lisa”, „Rany”, „Julka” i „Białego”.

Korekta: Jolanta Sierakowska

Adres: ul. Sanguszki 1, 00-222 Warszawa

Redakcja mieści się w lok. 11, w budynku Rybaki 35

e-mail: zyciewytworni@pwpw.pl

Nakład: 800 egz.

ISSN 1640-2413.